TYDZIEŃ

Nr 32 (56) ROK II

10. VIII. 1947

CENA 20 ZŁ



DZIŚ: Zbigniew Mitzner, Jan Rojewski, Stanisław Sojecki, Jan Wiktor, Jerzy Wyszomirski i inni

Kto daje pieniądze?

OD blisko 20 miesięcy przybywają do Palestyny statki z nielegalnymi imigrantami. Wiele statków zostało przychwyconych i skonfiskowanych przez Anglików. Okręty kosztują setki tysięcy, a nawet miliony dolarów. Pieniądze płyną głównie ze źródeł amerykańskich. Pewne światło na metodę zdobywania pieniędzy rzucają ogłoszenia poszczególnych organizacji żydowskich w prasie Stanów Zjednoczonych. „Haganah“, oficjalna żydowska organizacja podziemna, chwali się w całostronicowym anonsie, że od listopada 1945 do maja 1946 r. Anglicy przychwycili 31 statków z 30.750 pasażerami, podczas gdy inne konkurencyjne żydowskie ugrupowanie wysłało tylko 1 okręt. Inna znów organizacja ogłasza, że gotowa jest przewieźć samolotami każdą ilość Żydów do Palestyny, przy czym osoby zdrowe będą musiały skakać przy pomocy spadochronów.

65.000 żołnierzy angielskich (po 1 na każdych 8 Żydów) nie może opanować sytuacji w Palestynie, a okręty z imigrantami wciąż płyną. Nie wszystkie dostają się w ręce Anglików.

Komedia



Warunki życiowe w Hiszpanii są niezmiernie ciężkie. Poza terrorem falangistów ludności doskwiera brak chleba. Ale gdy donna Peron, małżonka i nadzwyczajny pełnomocnik dyktatora argentyńskiego, zjawiła się w Madrycie, Franco urządził typową dla faszystów demonstację.

Donna Peron oświadczyła mu, że małżonek jej w dowód szczerego uznania dla Hiszpanii pragnie ofiarować dwa ładunki okrętowe mąki. Franco odparł na to, że Hiszpania produkuje tak zawrotne ilości mąki, że nie wiedziałby, co zrobić z dodatkową ilością.

Ta historyjka kursuje, według relacji „New York Herald Tribune“, po całym Madrycie, ale Hiszpanie jakoś nie mogą się śmiać.

Piekło kauczukowe

W 1942 roku Japończycy opanowali Indie Holenderskie, kraj, który był głównym dostawcą surowego kauczuku. Bez tego surowca machina wojenna państw anglosaskich nie mogła pracować. Przemysł produkujący kauczuk syntetyczny był dopiero w zalążkach. Zwrócono się więc do Brazylii, która posiada bogate tereny kauczukowe w dorzeczu Amazonki. Tereny te są jednak niezmiernie niezdrowe, a koncern Forda, który na wiele lat przed wojną próbował eksploatować ten okręg, musiał zrezygnować ze swoich zamiarów.

Utworzono więc w 1942 r. specjalny Bank Kauczuku, który rozpoczął akcję werbunkową i wysyłał robotników w głąb kraju, gdzie według relacji naocznych świadków pracowali w obozach, które, choć nie miały drutów, były oddzielone od świata z powodu niebezpieczeństwa febry, dzikich zwierząt i niemniej dzikich Indian.

Przy wydobywaniu kauczuku postradało życie 31.000 osób. Najbardziej godnym potępienia jest fakt, że 22.000 robotników do dziś zmuszanych jest siłą do pracy w budzących grozę warunkach.

Rząd brazylijski i Bank Kauczuku zwalają wzajemnie na siebie winę. Jest to jednak mała pociecha dla 22.000 faktycznych niewolników.

Tajemnica ks. Parcent

CZĘŚĆ prasy polskiej padła ofiarą przykrej mistyfikacji. Wydrukowała ona fragmenty książki niejakiego D. de Parcent, wydanej po francusku pt. „Dramat Warszawy“, prezentując autora jako Francuza, cudzoziemca, który przypadkiem znalazł się w Warszawie i przebył tu cały czas wojny.

W istocie zaś prawdziwe nazwisko Ks. Parcent brzmi Grancow i pochodzi on z Sosnowca. Przed wieloma laty wyemigrował on do Hiszpanii, gdzie ożenił się z przedstawicielką jednego z najstarszych rodów, przybierając nazwisko swojej żony. Następnie powrócił do Polski w charakterze agenta gen. Franco spełniając

tak i nie

dla niego niezwykle pożyteczną misję zakupu broni i żywności w okresie wojny domowej. Nic dziwnego, iż człowiek ten mógł w okresie okupacji przebywać spokojnie w Warszawie i robić dobre interesy. Pod jego opieką między innymi znajdowała się znana za czasów okupacji restauracja „Fregata“.

Wczasy

JEDNĄ z wielkich zdobyczy demokracji są wczasy pracownicze, organizowane obecnie w Polsce na szeroką skalę. W roku bieżącym objęły one 450.000 osób. W roku przyszłym przewiduje się podwyższenie tej liczby o 50%. W samym Zakopanem funkcjonuje przeszło sto domów wypoczynkowych, z czego do funduszu wczasów należy około 60 domów, przez które co dwa tygodnie przewija się cztery tysiące robotników i pracowników z różnych stron kraju.

Film słowiański

JAK donoszą z Pragi, pod kierownictwem jednego z wybitnych reżyserów holenderskich opracowywany jest projekt nakręcenia filmu słowiańskiego. Film ten składałby się z czterech części i byłby nakręcany w Jugosławii, Bułgarii, Polsce i Czechosłowacji przez operatorów jugosłowiańskich w Jugosławii, polskich w Polsce itd. Myśl nakręcenia takiego filmu miał naczelny dyrektor Czechosłowackiego Towarzystwa Filmowego.

Zadaniem filmu ma być pokazanie pokojowej i pokój miłującej pracy słowiańskiej oraz uchwycenie przepięknych krajobrazów słowiańskich. Film ma również pokazać wysiłki narodów słowiańskich nad odbudową ich zniszczonych przez wojnę gospodarstw. Współpraca reżysera holenderskiego jest gwarancją, że film nie będzie miał charakteru wyłącznie propagandowego. Dalej film ma wykazać, że nie ma „słowiańskiego niebezpieczeństwa“ oraz marzeń o „ekspansji słowiańskiej.“

Prace nad realizacją filmu rozpoczną się jeszcze w bieżącym roku.

Niemcy mają przyjaciół



O ile o hitlerowskiej akcji podziemnej na terenie byłej Rzeszy pisze się względnie często, o tyle o działalności Niemców za granicą jest raczej cicho, względnie poprzestaje się na krótkich wzmiankach. A niemiecka działalność zagranicą wymaga baczniejszego zwrócenia uwagi, tym bardziej obecnie, gdy istnieją próby wprowadzenia Niemiec na teren pokojowej współpracy narodów świata.

Natychmiast po klęsce Niemiec rozpoczęła się akcja zdążająca do odrodzenia nazizmu przez utworzenie zagranicą silnych „baz wypadowych“. Działalność rozwinęła się przede wszystkim w państwach, w których Niemcy już podczas wojny cieszyli się, w mniejszym czy większym stopniu, przychylnością.

Taktyka niemiecka oparła się w pierwszym rzędzie na eksporcie kapitałów i ludzi.

Po tajnej konferencji magnatów ciężkiego przemysłu i szefów hitlerowskich, która odbyła się w kwietniu 1945r. w Bale, 650 ekspertów i techników niemieckich otrzymało polecenie wyjazdu za granicę i przygotowania tam rewanżu. W tym samym czasie komitet finansowy załatwił w Szwecji, Szwajcarii, Argentynie, Hiszpanii i Afryce Południowej sprawę zdeponowania odpowiednich funduszów sięgających wysokości wielu miliardów dolarów.

Ostrze na ostrze

GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE...

Miłość pięknej kobiety i bohaterskiego oficera — dwojga młodych, których narody toczą między sobą krwawą wojnę — jest w sztuce i literaturze tematem równie odwiecznym, jak brzydka zabawa, uprawiana z zamiłowaniem przez rodzaj ludzki a polegająca na skracaniu sobie wzajemnie żywota pod auspicjami wojowniczego Marsa i jednoczesnym uzupełnianiu powstałych przez to luk pod opieką czułego Amora.

Nie byłoby też więc nic dziwnego w tym, iż szablonowy ów temat odżył na nowo po niedawno minionej wojnie, iż rozmaici sentymentalni osobnicy płci obojej ronią rzewne łzy nad stronicami wzruszającego romansu kobiety, która uratowała życie pewnemu lotnikowi, wrogowi swego narodu, zakochała się w nim i wyszła za niego zamąż. Byłoby właściwie wszystko to „all right“ i „happy end“, gdyby nie...

Gdyby nie wmieszała się w zwykłe sobie dzieje kochanków polityka, sprowadzając chytrze biednego, ślepego Amorka z różanych ogrodów miłości na kręte i skomplikowane ścieżki wielkiej dyplomacji.

Rzecz polega mianowicie na tym, iż cała opinia publiczna Wielkiej Brytanii pasjonuje się obecnie, nie w mniejszym stopniu co trudnościami gospodarczymi... pewnym filmem, przeróbką wystawianej niedawno w Londynie sztuki scenicznej.

Film nazywa się „Frieda“.

Oto skrót treści. Urocza Niemka, Frieda, dopomaga w ucieczce angielskiemu lotnikowi, który z wdzięczności żeni się z nią i przywozi ze sobą do Anglii. Otoczenie jego, rodzina, ludność miasteczka, w którym zamieszkują, nie chcą jej uznać za członka społeczeństwa angielskiego. Sprawa zdaje się przyjmować dobry dla Friedy obrót, gdy zjawia się jej brat w mundurze polskiego żołnierza z armii Andersa. Szydło wychodzi jednak z worka — kochany braciszek to wilk w owczej skórze — jego mundur jest przebraniem, pod którym kryje się niebezpieczny, zacięty hitlerowiec, knujący plany zemsty i odwetu. Frieda topi się z rozpaczy, lecz angielski mąż wyławia ją w ostatniej chwili z jeziora.

Koniec? Nie. Następuje pytanie, rzucone opinii publicznej Anglii i świata: Czy przyjęlibyście Friedę do swojego domu? I to pytanie, na które odpowiedzieć mają angielskie ladies and gentelmen jest tylko owczą skórką. Drugie bowiem pytanie jest natury bardziej ogólnej: „Czy przyjęlibyście Niemcy do rodziny narodów?“

Frieda jest urocza. Frieda jest nieszczęśliwa. Frieda jest niewinna temu, iż ma brata — łajdaka i zbrodniarza. Frieda uratowała życie angielskiemu lotnikowi. Odpowiedź na pierwsze pytanie nasuwa się lekko. Jest przytłaczająco dla Friedy przychylna. A odpowiedź na pytanie drugie? Być może dwa lata temu byłaby zdecydowanie przecząca. Dziś... Zapytani zaczynają się już zastanawiać. I to właśnie jest również zastanawiające.

Ciekawą jest sprawą i wielce charakterystyczną, w jaki sposób perfidnie i sprytnie robiona propaganda usiłuje przełamywać zdrowe opory i odruchy opinii tam, gdzie okazały się mało skuteczne inne, dotychczas używane argumenty polityczne, czy gospodarcze. Jeśli zawodzi przekonywanie o postępach demokratyzacji w Niemczech, jeśli zawodzi rozumowanie na temat konieczności odbudowy potęgi gospodarczej Niemiec, spróbujmy pogrążyć w ciemności salę kinematograficzną i przemówić do zachwyconego wzroku, do wzruszonych serc ze srebrnego ekranu...

Przecież stare i mądre jest przysłowie — gdzie diabeł nie może, tam babę pośle... Posłał babę. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

AVIŚ

NASZA OKŁADKA



Rys. W. Siemiątkowski
GDAŃSK

Drogi Wielkiej Brytanii

JAK wiadomo, sytuacja gospodarcza Wielkiej Brytanii ostatnio pogorszyła się znacznie. Rząd obraduje nad ostrymi środkami zaradczymi, mającymi na celu wzmożenie wywozu i ograniczenie spożycia wewnętrznego, jak również importu rozmaitych towarów. Oczekiwane są zmniejszenia racji żywnościowych i przydziałów innych towarów, a także przedłużenie czasu pracy na okres przejściowy. W sprawie tej odbyć się ma konferencja związków zawodowych.

Ciekawa jest wypowiedź pisma angielskiego „Reynold News“, organu kół spółdzielczych i socjalistycznych na ten temat. Pismo to stwierdza, iż Wielka Brytania powinna zrezygnować z polityki uzależnienia się gospodarczego od Stanów Zjednoczonych i zacieśnić swoje stosunki ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami wschodnio-europejskimi. Wielka Brytania wydaje obecnie to, co jej pożyczyła Ameryka. Z kolei liczy na pomoc amerykańską w ramach planu Marshalla. Uzależnia się w ten sposób całkowicie od potentatów z Wall Street.

Zdaniem gazety, jedyną drogą wyjścia z kryzysu jest zwrócenie się w kierunku tych krajów, którym nie trzeba będzie płacić dolarami, a które potrzebują wyrobów przemysłu brytyjskiego. Układ ze Zw. Radzieckim zapewniłby W. Brytanii wyżywienie na okres trwania tego układu, t.zn. na trzy lata i dlatego też trzeba uczynić wszystko, aby dostarczyć Zw. Radzieckiemu wszystkich wyrobów przemysłowych, jakich on potrzebuje. W. Brytania winna ściśle współpracować z tymi krajami, które idą po tej samej linii co i W. Brytania, a mianowicie po linii uspołecznienia życia gospodarczego, do ustanowienia ustroju socjalistycznego — kończy tygodnik swoje wywody.

1900 upadłości

JAK podaje Federacyjny Zarząd Zasobów USA, w ostatnim okresie przemysł Stanów Zjednoczonych odczuł spadek wskaźnika produkcji ze 190 do 183. Jest to dowodem, iż przemysł USA osiągnął już maksimum swej produkcji i obecnie chyli się ku spadkowi. Koła oficjalne skrzętnie kryły te dane Zarządu Zasobów, jednakże dowodem tego, że przemysł USA nie jest już w porządku, potwierdza reakcja giełdy, na której ostatnio wartość akcji obniżyła się znacznie. Drugim dowodem tego upadku jest to, że ostatnio ogłasza się coraz więcej bankructw. W ostatnim tylko okresie sprawozdawczym ogłoszono ponad 1.900 upadłości.

Wuj Sam kocha sztukę...

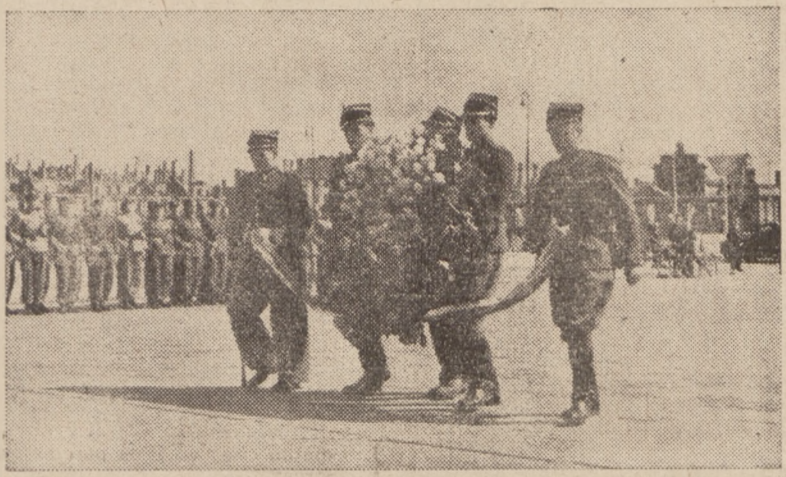
PRÓCZ montowania Zjednoczonej Europy „Marshall ma również inne jeszcze kłopoty. Ostatnio musiał od odwołać projektowaną wielką wystawę sztuki amerykańskiej, która miała objechać wszystkie stolice Europy. „Jest niedopuszczalne, powiedział, aby wydawać pieniądze na tego rodzaju przedsięwzięcia“. Decyzja ta została spowodowana krytyką znacznej części członków Kongresu, którzy, przyznając, że nie rozumieją zupełnie sztuki współczesnej, wyrazili głośno swą pełną pogardę dla większości artystów dnia dzisiejszego.

FILM TYGODNIA

W trzecią rocznicę Powstania



Modlitwa na cmentarzu



Fot. Film Polski

Delegacja Związku Uczestników Walki Zbrojnej o Niepodległość i Demokrację składa wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza



Pracownicy MZK w Warszawie wykopali 104 pociski do 5 cm granatników niemieckich na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Wspólnej. Pociski usunęli saperzy z Kazunia pod kierownictwem płk. inż. Kowalskiego



Fot. Film Polski

Jak dobrze nam zdobywać góry... — śpiewają harcerze w drodze na Śnieżkę, idąc szosą wiodącą do Bierutowic.

Zbigniew Mitzner

POTRZEBNE PROCESY

CZY nie za dużo tych procesów? — zapytuje ten i ów obywatel, odkładając na bok przeczytaną gazetę.

Rzeczywiście w ostatnich czasach mamy sezon na procesy, szczególnie jeśli chodzi o przestępstwa natury gospodarczej. Oczywiście, nie jest to przyjemne, że w społeczeństwie naszym znajduje się tyle jednostek, które żyją z nadużyć, łapówek i kradzieży. Jeśli jednak tak jest, jeśli wojenna demoralizacja sięgnęła dość głęboko, nie ma powodu, ażeby ją pomijać milczeniem, albo zamykać na nią oczy.

Ten sam obywatel, któremu nie podobają się liczne procesy, niejednokrotnie narzekał na wzrastającą falę drożyzny, na nieuczciwego urzędnika, czy też na tryb życia bogatego aferzysty. Państwo nie ma innych możliwości tępienia przestępstw, jak karząc je. Jeśli do tych procesów i do wykrywania nadużyć dochodzi dziś dopiero, to jest to związane ze stabilizacją wewnętrzną kraju, polityczną i gospodarczą. W chaosie pierwszego okresu odbudowywania państwa nie miało ono możności skutecznego tępienia wszelkiego rodzaju przestępstw, szczególnie tak nieuchwytnych, jak przestępstwa gospodarcze.

Nie należy sądzić, że jest specjalną tendencją Rządu rozpętywanie serii procesów sądowych; są one jednak konieczne ze względu na normalny tok życia gospodarczego kraju i ze względu na interesy jego obywateli. Oto kilka przykładów:

PRZED kilkoma tygodniami czynniki rządowe zapowiedziały wzmożenie walki z przestępstwami i nadużyciami natury gospodarczej. W oświadczeniach złożonych wówczas wskazywano na okoliczność, że naturalne trudności ekonomiczne, w jakich się znajdujemy w obecnym okresie powojennym, niejednokrotnie pogłębiane są sztucznie przez przestępczą działalność ludzi ukrywających się pod płaszczykiem tak zwanej „inicjatywy prywatnej". Energiczna bitwa stoczona została na odcinku cen, których wiosenny wzrost, niczym nieusprawiedliwiony, został na skutek akcji władz i współdziałania czynników społecznych zdecydowanie zahamowany. Przy bliższym zapoznaniu się z tą sprawą okazało się, iż powodem zwyżki cen była niedopuszczalna i wygórowana stopa zysku, stosowana przez prywatnych hurtowników i detalistów. W ten sposób uniemożliwiali oni urealnienie płac pracowniczych, nakładając na masy pracujące swoje dodatkowe prywatne podatki.

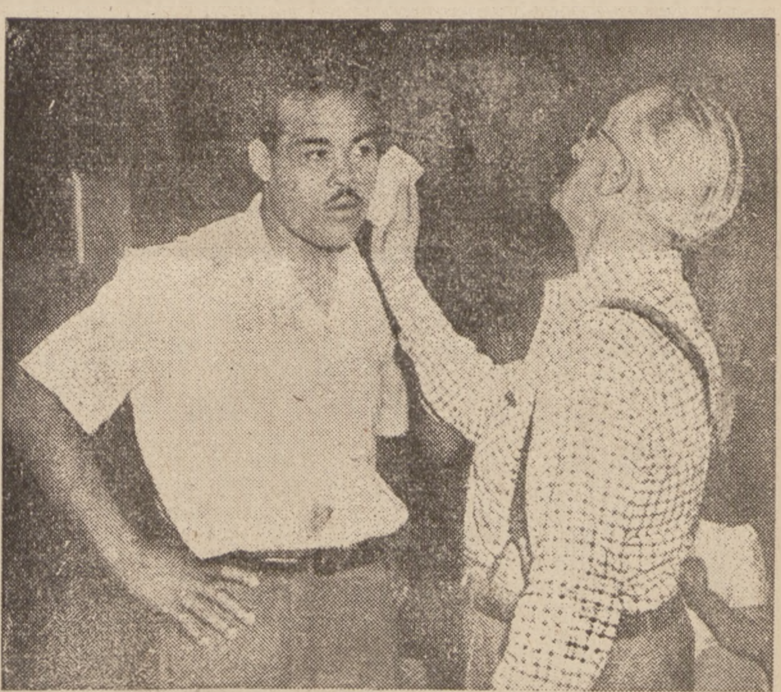
Druga bitwa dotycząca tych samych zagadnień toczy się na odcinku kradzieży i nadużyć, które pewni bezkarności spekulanci doprowadzili do fantastycznych rozmiarów. Nadużycia te i kradzieże mają nie tylko aspekt i znaczenie moralne; są niedopuszczalne i muszą być karalne nie tylko ze względu na odpowiednie przepisy prawne, nie tylko dlatego, że żadne państwo, tak jak i żaden człowiek nie może dopuszczać do trwonienia swego dobytku przez ludzi obcych.

Walka z przestępczością na tym odcinku ma także bezpośrednie znaczenie gospodarcze. Ujawnienie rozległej afery papierniczej, wykrycie całego spisku działającego na tym odcinku życia gospodarczego, przyczyniło się do natychmiastowej zniżki cen tego produktu o 20 procent. Gdyby ktokolwiek poddawał w wątpliwość akcję Rządu i jego argumenty głoszące, że zwyżka cen bywa przeważnie sztuczna i oparta o działalność nielegalną, to na przykładzie papieru otrzymuje argument aż nazbyt wymowny i aż nazbyt przekonywujący.

PODOBNIE miała się rzecz z pięćdziesięciotonowym transportem cyny, z ostatnim transportem tego cennego metalu, który Polska otrzymała z dostaw UNRRA. Kilku przestępczych osobników zawarło porozumienie, zmierzające do okradzenia naszego przemysłu z tego cennego surowca i zagarnięcia z tego dla siebie całego, kilkudziesięciomilionowego zysku. Dojście tej kradzieży do skutku, niewykrycie jej w porę doprowadziłoby do obniżenia naszej produkcji, a więc tym samym ugodziłoby bezpośrednio każdego obywatela w Polsce.

Dlatego też akcja władz zmierzająca do wykrywania i zapobiegania tego rodzaju przestępstwom, jest akcją leżącą w interesie każdego uczciwego obywatela, a godzi wyłącznie tylko w nieliczną garstkę ludzi, którzy z kradzieży i z nadużyć zapragnęli czerpać dla siebie fantastyczne korzyści.

AKCJA ta nie zmierza w żadnym wypadku do zmiany naszego modelu gospodarczego. Model ten polega na współdziałaniu i wspólnej twórczej pracy sektora państwowego, spółdzielczego i prywatnego. W ramach tego modelu nie mieści się jednak sektor czwarty, nielegalny i żerujący na naszym życiu gospodarczym, sektor złodziejstwa i nadużyć. Pod jakimkolwiek szyldem rozwijałby on swą działalność, jest i będzie energicznie tępiony, a wytępienie jego całkowite leży w interesie całości naszej gospodarki i jak to widać jasno na przykładzie obydwu aktualnych afer, w interesie wszystkich uczciwych ludzi w Polsce.



Joe Louis porzucił sport i został gwiazdorem filmowym. Oto przygotowania do zdjęć!

SPÓŁDZIELCZOŚĆ NA MIĘDZYNARODOWYCH TARGACH W GDAŃSKU

Zadaniem każdej wystawy — targi międzynarodowe są przecież przede wszystkim wystawą kontrahentów — jest syntetyczne z o b r a z o w a n i e. Nagół nie mamy jeszcze dostatecznej maestrii w organizowaniu tego rodzaju imprez. Trzeba powiedzieć, że na bardzo wielu naszych wystawach organizatorzy stawiają sobie za cel oszołomienie widza, przytłoczenie go bezlitosnym zgęszczeniem przedmiotów, cyfr, wykresów, tablic, wszystkim cokolwiek uda się im zgromadzić. Na psychice zwiedzającej publiczności również ciążą jeszcze tradycje „pewuki" i jej stosunek do dzisiejszych wystaw czy pokazów uzależniony jest często w dużej mierze od tego, jak wypada porównanie z niezapomnianą wciąż „pewuką". Wyrazem tego jest chociażby recenzja publicysty jednego z organów stołecznych, który widzi „improwizację" i pracę „na kolanie" w tych pawilonach, które nie zdołały go oszołomić skondensowaną, morderczą lawiną drobiazgów oraz „monumentalnym" ogromem „wież górnośląskich" piramid z mydła czy pałaców ze smalcu. Od czasów „pewuki" upłynęło nieco czasu, świat poszedł naprzód, poszła również naprzód i sztuka eksponowania przedmiotów na wystawach. Nasz ogół niestety nie ma możności porównawczych z krajami, przodującymi w tym względzie, gdzie sposób urządzania wystaw opiera się na prawach psychologicznych i artystycznych, zmierzając do takiego zgrupowania eksponatów, iżby widz mógł odnieść pewne syntetyczne wrażenia z całości a także z łatwością znaleźć szczegóły i informacje na których mu zależy. Ten ostatni szczegół ważny jest zwłaszcza na wystawach związanych z targami, gdzie przecież chodzi o zorientowanie czynników handlowych w sprawach jak najbardziej konkretnych, bo w możliwościach zakupu i sprzedaży, gatunków i jakości towarów.

Nie zamierzając „opisywać" całości targów, zatrzymaliśmy się na jednym fragmencie, najbardziej nas interesującym, mianowicie na pawilonach spółdzielczości, będącej dzisiaj jednym z poważniejszych eksporterów i importerów a więc i jednym z podstawowych faktorów na Targach.

Mając możności porównawcze z pawilonem spółdzielczym na wystawie poznańskiej, możemy stwierdzić z całą bezstronnością, iż wystawca spółdzielczy poszedł tu w dalszym ciągu po linii nowoczesnego, syntetycznego obrazowego a przy tym rzeczowego przedstawienia tematu, gdzie synchronizuje się praca handlowca z wysiłkiem artystycznym grafika.

Pawilon spółdzielczy znajduje się w reprezentacyjnej dzielnicy Gdyni, w miejscu wysuniętym daleko w morze w pomieszczeniu dawnej przystani „Żeglugi Polskiej" wraz z nowowybudowanymi budynkami. Został on zaprojektowany przez inżyniera Romana Wyłcana przy współpracy grafików J. Staniszkisa, W. Zamecznika, Cz. Wielkowskiego, J. Wróblewskiego i N. Filipowicza, i urządzony przez kierownika organizacyjnego W. Tyrakowskiego („Społem") oraz M. Mariańskiego (Związek Rewizyjny).

Wstępem do pawilonu jest sala „dydaktyczna", obrazująca charakter i dorobek ruchu spółdzielczego jako całości. Widzimy tu szereg barwnych plansz, ilustrujących stan poszczególnych central gospodarczych, którym patronuje Związek Rewizyjny, a więc plansza Związku Rewizyjnego, dalej wykresy i plansze Centrali Gospodarczej Spółdzielni Pracy, Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego, Centr. Gosp. „Solidarność", Rolniczej Centrali Miesnej, „Społem", „Czytelnika" i Centr. Gosp. Spółdzielni Ogrodniczych. Plansze wszystkich central powiązane ze sobą sznurami, tworzą koło, symbolizujące jedność ruchu spółdzielczego.

Osobne pomieszczenie zajmuje Bank Gospodarstwa Spółdzielczego, który oprócz map i wykresów organizacyjnych urządził normalny kantor bankowy, w którym załatwiane są wszelkie zlecenia klientów. Teraz przechodzimy do drugiej części pawilonu, w której króluje Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. „Społem", jako organizator spółdzielczego handlu zagranicznego. Tutaj spotyka się już z „konkretem" handlowym towarów, które spółdzielczość ma na eksport. Należy podkreślić, iż ograniczono się jedynie do tych artykułów, które już obecnie stanowią przedmiot transakcji zagranicznych. Tak np. masło, stanowiące poważny przedmiot obrotu spółdzielni, ale tylko na razie na rynku wewnętrznym, na wystawie nie jest reprezentowane.

W gablotkach i stoiskach widzimy artykuły jajczarskie i mleczarskie jak sery, mleko sproszkowane, gęsi mrożone, dalej nasiona, przetwory owocowe, — konfitury, dżemy, soki, wyroby cukiernicze, — pierniki, biszkopty, cukierki, przetwory rybne, środki spożywcze — budynie, sosy, zupy. Najbardziej może imponująco przedstawia się stoisko Wydziału Mleczarsko - Jajczarskiego, gdzie liczna publiczność gromadzi się dokoła maszyny, sortującej automatycznie jaja, podług ich wagi i stemplującej eksportowym znakiem handlowym. Widzimy tu również metalowe puszki z jajami mrożonymi oraz skrzynie ze znanym już na rynkach zagranicznych napisem „Polish eggs". Wydział Mlecz. - Jajczarski „Społem" wyeksportował na rynek angielski już ponad 13 milionów jaj (przeszło 1.000 ton). Wkrótce zaś wyeksportuje dalszych 30 milionów. O polskie jaja dowiadują się z zainteresowaniem inni importerzy zagraniczni, m. in. szwedzcy, jednak nasze możliwości są jeszcze zbyt ograniczone, abyśmy mogli sprostać wszystkim zapotrzebowaniom eksportowym.

Osobne stoiska zajmują placówki morskie „Społem". Widzimy tu pomysłowe stoisko Oddziału Spedycji Morskiej „Społem", jako jednego z większych przedsiębiorstw usługowych w Polsce. Na stoisku tym zmontowano fragment przeładunku morskiego oraz zobrazowano pracę elewatorów zbożowych i olbrzymich magazynów portowych.

Miły zapach suszonych ziół panuje w salce Wydziału Rolniczego, gdzie zgromadzono próbki ziół eksportowych, zbieranych na naszych polach i łąkach oraz uprawianych na specjalnych plantacjach i eksportowanych przez spółdzielczość. Są tu tablice medyczne przedstawiające lecznicze działanie poszczególnych gatunków ziół na różne organy człowieka. Zioła stanowią jedną z poważnych naszych pozycji eksportowych.

Na miejscu znajdują się biura, gdzie krajowi i zagraniczni interesanci zawierają transakcje. Po zewnętrznej stronie pawilonu odbywa się w sześciu kioskach reklamowa sprzedaż próbek towarowych wyrobów „Społem". Próbki są sprzedawane po tych samych cenach, w jakich towary te można dostać w spółdzielniach, a więc po cenach niższych, niż w sklepach prywatnych. W ten sposób zachęca się publiczność do zainteresowania się sklepami spółdzielczymi i produkcją spółdzielczą.

Całość kończy się nad brzegiem morza, gdzie urządzono stylową kawiarnię dla odpoczynku i pokrzepienia strudzonych wędrowców po M. T. G. W kawiarni tej podawane są wyłącznie artykuły produkcji spółdzielczej, a więc piwo, sałatki rybne, ciastka, surówki, herbaty ziołowe itp.

Poza głównymi pawilonami spółdzielczymi można jeszcze spotkać stoiska spółdzielcze w innych częściach wystawy, jak wyroby ludowe spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Dziale Przemysłu Artystycznego, spółdzielnie rybackie i inne.

M. S.

Spółdzielnia Spożywców „Mazur" w Łęczycy

Z powodu błędów zecerskich w poniższej notatce zamieszczonej w nr 30 (54) „Tygodnia" podajemy ją raz jeszcze.

Spółdzielnia Spożywców „Mazur" w Łęczycy, ul. Poznańska 17, powstała jeszcze w 1905 r. W czasie okupacji niemieckiej została wywłaszczona z majątku, który oddano na własność i użytkowanie Niemca. Niemka musiała porzucić tę placówkę. Powstały po niej, pełne magazyny towarów, które niestety zostały doszczętnie rozgrabione. Po odzyskaniu niepodległości, w lutym 1945 r. Spółdzielnię restytuowano, rozpoczynając pracę od początku.

Obecnie Spółdzielnia zrzesza 650 członków, zatrudnia 31 pracowników i prowadzi 7 sklepów, a w tym 4 — kolonialno - spożywcze, 1 specjalny, z wyrobami monopolowymi, 1 z przyborami i artykułami szewckimi i 1 — włókienniczy.

Ponadto spółdzielnia posiada własną rozlewnię octu. Obroty Spółdzielni w 1946 r. osiągnęły kwotę 58 milionów zł.., a na rok bieżący preliminowano je w wysokości 80 milionów zł. Tabor Spółdzielni składa się z 1 samochodu ciężarowego.

Kieruje Spółdzielnią trzy osobowy Zarząd w składzie p.p.: Franciszek Wyka — prezes, kierownik Feliks Kubiak — sekretarz i Jan Kamiński — skarbnik. Zarząd projektuje uruchomienie: masarni, piekarni i fabryki wód gazowych oraz otwarcie składu opałowego (a.).

HISTORIA ZIELARSTWA

Studia historyczne wykazały, że Egipcjanie, Persowie, Grecy i inne narody, posiadające własną kulturę, stosowały leki roślinne, które po bliższym zbadaniu okazały się bardzo podobne często nawet takie same i nie jest wykluczone, co zresztą te badania historyczne udowodniły, że nasza farmakologia w większości wypadków oparła się i znalazła w lekach roślin narodów wyżej wspomnianych lub wierzeń ludowych działanie dzisiejszych ziół. Coraz zresztą nowe badania potwierdzają, że rośliny te lub inne dotąd nieznane były używane przez ludy Azji, Afryki, Europy i Ameryki. Widzimy więc, że ziołolecznictwo dziś stosowane nie było obce Aztekom, Majom, że uprawa roślin leczniczych, siegając daleko wstecz w czasy starożytne, była znana. przekonamy się, że tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa — ludzie znali już rącznik, którego nasienie znaleziono w grobach staroegipskich. W czasach Homera Grecy zajmowali się wydobywaniem opium z maku. Herodot nazywa miasto Sykion — miastem maku — „Mecone". Czas początków ery chrześcijańskiej przynosił znajomość plantowania ziół a stara literatura ówczesna wspomina, podając nawet konkretne sposoby uprawy .

Okres wieków średnich normalizuje już wartość ziołolecznictwa. W czasach tych mają moc prawną, nakazy uprawy, wydane przez Karola Wielkiego i Ludwika Pobożnego, zlecające klasztorom zajęcie się tą sprawą, stąd klasztory były podstawą początków kultury zielarskiej, trwającej i rozprzestrzeniajacej się po wiek XIX. Możnaby tu wyliczyć, opierając się na starych kronikach, starych źródłach historycznych, gdzie i jakie rośliny uprawiano. Przeszło 1000 środków leczniczych znanych było w XV wieku. Odkrycie Ameryki przynosi i wzbogaca lekospis w korę chininy, senegi, wanilii i wiele innych.

Wiek XIX był przełomowym w dziedzinie zielarstwa. Rozpoczął się zwycięski pochód chemii, oparty nie na przypadku, lecz na ścisłych badaniach laboratoryjnych, wzbogacając naszą wiedzę coraz to nowymi zdobyczami naukowymi. Chemia syntetyczna wkracza do medycyny. Nauka, wykradłszy niektóre tajemnice przyrody, pozwala badać przemiany chemiczne, wpływy fizjologiczne roślin, ich składniki, rozszerzając ilość istniejących leków. Rośliną interesowano się już nie tylko dlatego, że posiadała własności lecznicze, ale badano jej skład chemiczny, budowę anatomiczną, zastanawiano się czy nie będzie można zastąpić środkami innymi — rozwój chemii poszedł bardzo daleko. Drogą syntezy udało się otrzymać niektóre środki, będące dotąd w wyłącznym posiadaniu roślin.

Chemia triumfowała. Nowe leki zdobywały szerokie uznanie, zostały poparte przez lekarzy, uczonych, a i chorzy mieli coraz większe zaufanie

Znaleźli się ludzie, którzy, widząc w tym dobry interes, inwestowali kapitały, budowali fabryki przemysłu farmaceutycznego.

Ten niczym niewstrzymany, zdawałoby się, pochód syntetycznych preparatów wyrugowałby całkowicie zielarstwo, gdyby nie pewne objawy, niespotykane dotąd przy stosowaniu naturalnych lekarstw roślinnych. Nieprawidłowe działanie serca, niedyspozycja przewodu pokarmowego, podrażnienia gruczołu wydajnego, osłabienie nerek, wątroby, oto objawy leków syntetycznych. Obok pierwszej choroby wystąpiła druga, którą trzeba było zacząć leczyć. Skutek tego leczenia czysto chemicznego, stosowanego przez ludzi, którzy mało lub wcale nie mieli styczności z organizmem żywym — zaczęto poddawać krytycznej analizie — co jest tego przyczyną i dlaczego reakcja organizmu żywego jest tak wielka. Ziołolecznictwo podnosiło głowę. Badania przeprowadzane wykazały, że nie tylko związki chemiczne o pewnym określonym składzie decydują o leczeniu .Są jeszcze w roślinie inne substancje, które mają duży wpływ na organizm ludzki. Są nimi witaminy, mikroelementy oraz takie sole mineralne, które, trudne do odkrycia nie były stosowane wraz z środkami syntetycznymi .Medycyna, która usunęła prawie zupełnie botanikę i farmakognozję, zaczęła zwracać się coraz bardziej do dawnych sposobów leczenia.

Trzeba tu wspomnieć o dużym rozwoju znachorstwa w czasie rozkwitu chemii leczniczej. Dochodziło do tego, że stosunek lekarzy, mających prawo uprawiać praktykę, do znachorów, zbliżał się do stosunku 1:1. Niemcy, którzy przemysł farmaceutyczny rozbudowali najbardziej na świecie, mają ich najwięcej, gdy w roku 1876 jest ich 670 to już w roku 1930 — 12.942:—, Stany Zjednoczone posiadające 142 tys. lekarzy, mają znachorów 36 tys. Takie ilości znachorów nie mogłyby się utrzymać, gdyby ich praktyki nie były kryte pozytywnym skutkiem. Inaczej było we Francji, gdzie obok studiów nad chemią farmaceutyczną badano prawie równolegle leki roślinne.

Przyszła pierwsza wojna światowa. Prof. J. Muszyński w książce swojej pt. „Z wędrówek farmakogn. po Europie" pisze w roku 1933:

„Wojna była wielkim wstrząsem, który otworzył nagle ludziom oczy na całkowite zaniedbanie ziół jako leków i zależność większości państw europejskich od przemysłu niemieckiego, który zasypywał świat swymi chemikaliami. Zresztą nie sam brak jakichkolwiek leków spowodował przewrót w przedwojennych poglądach na zioła. Wojna była dla narodów nie tylko zbudzeniem politycznym i gospodarczym, lecz również w wysokim stopniu zburzeniem dietetycznym. Niedojadanie, używanie surogatów, powodowało masę cierpień, których nie znano przed wojną.

„Olbrzymie ilości ziół ludowych — to nic innego, jak leki dietetyczne człowieka pierwotnego lub dzikie warzywa naszych przodków. I oto występuje normalne, zwykle notowane w dziejach ludzkości zjawisko nawrotu do ziół i dzikich warzyw".

Wojna druga, której byliśmy świadkami, przyniosła nowe nadzieje na rozwój ziołolecznictwa. Nasz polski przemysł farmaceutyczny został doszczętnie zniszczony przez Niemców — leków jest brak, ale zioła mogą i muszą je zastąpić. Po zaspokojeniu naszego rynku wewnętrznego będziemy mogli nawet przystąpić do eksportu w poważnych rozmiarach, co zresztą zarysowuje się w konkretnych transakcjach zawieranych z zagranicą przez Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. „Społem". Dział Ziół tej instytucji zorganizował już skup i sprzedaż ziół, są już na rynku zioła pakowane. „Społem" przystępuje do produkcji i przetwarzania ziół. Brak środków leczniczych nie grozi nam.

M. BĄKOWSKI

JERZY RAWICZ

— KAPLICZKA ŚWIĘTEGO KADUKA —

Przed kilku dniami depesze doniosły, że w Niemczech aresztowano jednego z największych katów Oświęcimia, unterschaffuhrera. Kaduka. W depeszach nieściśle podano, że był on komendantem Oświęcimia. Najwyższe stanowisko, jakie zajmował, to było rapportfuhrer.

Zamieszczamy poniżej charakterystykę Kaduka.

Właściwie nazywał się Kadug, a nie Kaduk. Ale więźniowie nazywali go Kaduk i tak już pozostało. Był volksdeutschem, rodem z Chorzowa. Jedni mówili, że był przed wrześniem zawodowym podoficerem Wojsk Polskich, inni twierdzili, że był strażakiem. Gdy wojska niemieckie zajęły Śląsk, zgłosił się do SS, a gdy w 1940 r. utworzono obóz w Oświęcimiu, został tam skierowany, jako spec, znający miejscowe stosunki i język polski.

W Oświęcimiu zdobył sobie prędko renomę jako wyjątkowy sadysta. Awansował na unterschaffführera (kapral) i ciekawe: wyżej już nie poszedł. Nawet gdy w 1944 r. otrzymał funkcję rapportfuhrera, nie awansował, co zresztą nie przeszkadzało jemu, kapralowi, być postrachem nie tylko więźniów, ale i SS-ów.

Władze obozowe używały go do specjalnych funkcji. Kierowano go wszędzie tam, gdzie trzeba było okazać zwyrodnienie i brutalność najwyższego stopnia. Asystował ochotniczo przy gazowaniuu i paleniu ludzi, choć nie należało to do jego funkcyj. Musiał w tym celu po służbie jechać do odległego o kilka kilometrów od Oświęcimia Birkenau, ale czynił to chętnie i z satysfakcją. W czasie transportu Żydów węgierskich, kiedy kamery gazowe nie mogły nadążyć z „robotą", małe dzieci żywcem wrzucano do ognia. Zainaugurował tę zabawę Kaduk.

Już jako blockführer Kaduk pokazał, co potrafi, ale dopiero kiedy zaawansował na rapportfuhrera, rozwinął pełnię swego talentu. Trzeba mu oddać sprawiedliwość — nie oszczędzał i więźniów niemieckich, nawet lagereltester nieraz oberwał od niego po pysku. A lagereltester był dla przeciętnego więźnia bogiem, równym SS-manom, gdy przechodził — trzeba było przed nim zdjąć czapkę tak, jak przed żołnierzem.

Kaduk lubił bić i potrafił bić. Poznał i udoskonalił cały system, całą metodykę bicia.

Jeśli bity jest Polakiem — po polsku:

— Ty polska świnio, teraz już wiesz, co to jest lager.

Jeśli bity jest Rosjaninem:

— Ruski? Wszawy bolszewiku!

Jeśli bity jest Żydem:

— Jude? Dreksau. Jeszcze żyjesz?

Jeśli bity jest Niemcem:

— Deutsche? Verraeter (zdrajca).

Do bicia nie trzeba pretekstu. Jednak Kaduk go szuka zawsze. W szafce, na bloku, pyłek, źle zasłane łóżko, więzień nie dość szybko zdjął czapkę, szalik na rewizji przy bramie, źle ogolona głowa, nieoczyszczone buty, podarte spodnie, źle przyszyty numerek — każde z tych przestępstw wystarczy, aby więzień ujrzał wyraziście perspektywę komina.

W drugiej połowie 1943 r. przychodzi rozkaz: „Nie wolno bić". Kaduk interpretuje go po swojemu: Nie wolno bić, ale zabijać wolno w dalszym ciągu — i zabija. Dwóch więźniów uciekło. Cały obóz stoi godzinami na zimnie, na placu apelowym. Kaduk przebiera się w cywilne ubranie, siada na motocykl i po kilku godzinach przywozi w przyczepce straszliwie skatowanego trupa jednego z uciekinierów. Nazajutrz rano, kiedy kommanda wychodzą z obozu, leżą już dwa trupy na ukośnej desce, koło bramy. Nagie. Głowy — krwawe maski. Koło trupów stoi na warcie honorowej Kaduk i krzyczy bezustannie:

— Rechts schauen. Patrzeć w prawo.

Przypatrywać się dziełu Kaduka. Wiedzieć, że jeśli spróbujesz ucieczki, będziesz tak samo leżał na desce.

Wpadła grupa więźniów: próba ucieczki. „Dla przykładu" wieszają ich publicznie. Na oczach kilkunastu tysięcy więźniów, stojących na apelu. Kaduk eskortuje skazanych pod szubienicę. Umierają bohatersko. Krzyczą: „Precz z psami hitlerowskimi! Niech żyje Polska. Niech żyje socjalizm!"

Kaduk bije ich żelazną pałką po głowie. Mają spętane ręce. Wtedy jeden z nich pluje oprawcy prosto w twarz. Za chwilę wiszą...

Na KB (szpital) — wybiórka. Muzułmani idą do gazu. Dawniej naznaczał kandydatów do komina lekarz SS-man, później obejmuje tę funkcję Kaduk. dzie od łóżka do łóżka i wskazuje palcem: Ten, ten, a palec Kaduka więcej znaczy, aniżeli palec Nerona na arenie rzymskiej. „Ten i ten" zostają w bieliźnie załadowani na auta i jadą w swoją ostatnią drogę. Wiedzą, dokąd jadą. Wówczas Kaduk zyskuje sobie nowy przydomek: Doktór Kaduk.

Ogólna wybórka z łaźni. Bloki kolejno rozbierają się do naga i kilkanaście tysięcy nagich więźniów defiluje przed Kadukiem. Kaduk ziewa rozparty na krześle, co ułamek sekundy wyskakuje figurka kolejnego więźnia, pręży się. Kaduk macha cienką pałeczką: następny. Co pewien czas Kaduk podnosi pałeczkę do góry. Więźnia łapią kapowie i blokowi — i normalnie — do komina.

Całę swą moc i potęgę odczuwa Kaduk wówczas, kiedy odbiera apel. Poprzedni rapportfuehrer czynił to przy stole na wolnym powietrzu. Kaduk każe sobie wybudować w obozowych warsztatach stolarskich — budkę, w której zasiada. Budka jest kolorowa u góry zakończona spiczastą kopułą, w której umieszczono gong. Całość przypomina kapliczkę. Więźniowie nazwali ją kapliczką świętego Kaduka. Blockführerzy podchodzą kolejno do kapliczki, meldują stany swoich bloków, jak marionetki wyrzucają ręce na „heil" i odchodzą. Kaduk sumuje: „Stan zgadza się".

Wtedy wychodzi z budki. Obciąga mundur, pręży się. Jego ochrypły głos słychać w całym lagrze: „Stillgestanden". Cały jest w tym głosie, aż na palce wspina się przy wysiłku. Potem melduje stan obozu lagerfuehrerowi Hoessierowi.

Po „wegtreten" idzie powoli ku bramie obozowej, chwiejąc się nieco na nogach. Prawie stale jest pijany. Po drodze robi jeszcze sport z jakąś nieszczęśliwą ofiarą, która wlazła mu pod nogi: Laufen, springen, huepfen, rollen. Baerentanz. Wreszcie zbliża się do bramy. Śledzi za nim tysiące par nienawistnych oczu. Wie o tym i rozkoszuje się tą nienawiścią bezsilną. Taki już jest Kaduk.

Alarm lotniczy. Więźniowie biegiem wracają z pracy do obozu. Rozlegają się pierwsze wystrzały flaku. Warkot potężnych silników amerykańskich samolotów. Obóz otaczają dymy — zamglenie. Detonacje bomb. Niebezpieczeństwo — a w sercach więźniarskich radość. Cisną się do okien na dachy, wbrew zakazom. Chcą widzieć, cieszą się jak dzieci.

Ale — co to? Mgła na chwilę rozrzedza się i więźniowie widzą, jak grupa oficerów i podoficerów w hełmach z rozpylaczami w ręku wbiega do bozu i chowa się w korytarzu bloku 24-go. Wśród nich jest Kaduk. Niespokojnie patrzy w niebo i tuli się do muru. Boi się — wyraźnie — boi się. Potężny Kaduk boi się. Uciekł wraz z innymi esmanami tu, do obozu, bo wie, że na obóz bomby nie posypią się, lotnicy amerykańscy wiedzą, że tu są więźniowie. Kaduk jest bohaterem wobec bezbronnych więźniów, którzy muszą stać na baczność, kiedy ich bije, aż upadną, ale w duchu jest, jak każdy Niemiec tchórzem.

Więźniowie cisną się do okien, pokazują palcami jeden drugiemu Kaduka, przytulonego do muru, i śmieją się, radośnie śmieją się, jak już dawno się nie śmieli.

Coraz bardziej zbliża się front do Oświęcimia. Słychać już kanonadę. 18 stycznia następuje ewakuacja obozu. Straszny marsz. Esmani gonią kolbami, boją się nadciągającej Czerwonej Armii. Kto nie może nadążyć, na tego czeka za pochodem mar — Kaduk. Teraz już nie ma czasu na zabawy, jak w obozie. Kula w potylicę — i gotów. Droga od Oświęcimia po Pszczynę i dalej usłana jest tysiącami trupów.

Ostatni raz widziałem Kaduka w Mauthausen, w marcu 1946-go roku. Był znów zwykłym blockfuehrerem, nie miał już dawnego tupetu. Może przeczuwał, że niedługo jego panowania, że nadchodzi godzina odwetu.

* * *

Niejednokrotnie zastanawiałem się, co się stało z Kadukiem. Ktoś mówił mi, że widział go w przekształconym przez Amerykanów na obóz dla SS, dawnym obozie koncentracyjnym, jednym z najstraszniejszych, Ebensee, w Alpach. Nie dawałem temu wiary. Raczej przypuszczałem, że Kaduk żyje sobie gdzieś spokojnie w Niemczech, pod zmienionym nazwiskiem, korzystając ze zrabowanych po zagazowanych Żydach majątków, które sobie zawczasu zabezpieczył.

Tysiące byłych więźniów w Polsce z radością przeczytało wiadomość o schwytaniu tego zbira. Wydaje mi się, że powinniśmy już teraz rozpocząć starania o jak najszybsze wydanie go Polsce.

KRONIKA KULTURALNA

W „ŻYCIU OLSZTYŃSKIM" (Nr 86) czytamy artykuł p. t. „Żniwa na Mazurach", w którym autor daje przegląd starodawnych zwyczajów mazurskich, związanych z obchodem dożynków. W artykule przytoczono jakąś pieśń dożynkową z podkreśleniem, iż jest to „stara ludowa pieśń mazurska". Oto ona: „Wychodźta już do żniwa, dziewczęta i młodzieńcy, gdyż bieleje już niwa, woła do siebie żeńców. Pośpieszta już do żniwa, formując się parami, niech nasza żyzna niwa pokryje się snopami". Nieznane jest nam pochodzenie tej pieśni, myślimy jednak, że jej całkiem współczesne literacki język polski (z pozorami ludowości, jak: wychodźta, pośpieszta) nie może być w żadnym razie narzeczem mazurskim — „starym, ludowym". Gdy się wydaje pismo w Olsztynie, gdy się tam osiedliło, należałoby się zabrać sumienniej do badań dialektologicznych. Możemy autorowi artykułu dać próbkę gwary mazurskiej: „Co to za robota z tem lnem! Siemnie w maju sieji abo i puźni. Jek len wuros, napszud zakścion psienknie modro, potem dostau guufki; jek te guufki biwi żonte, to czas go wirwać. Kobzili, dzifczini rwali i ziurali w snopki. Potem pszizieźli do stodoui na klepisko i drapali rafami chuopi na uawach drewnianych". I tak dalej.

W TYMŻE NUMERZE „Życia Olsztyńskiego" znajdujemy wiadomość o dłuższym pobycie w Olsztynie i na Mazurach „ekspedycji naukowej" socjologów warszawskich. Cóż ona tam robiła? „Socjologowie warszawscy przeprowadzali badania terenowe z punktu widzenia tworzącej się więzi społecznej pomiędzy poszczególnymi grupami regionalnymi, które składają się na obecne społeczeństwo woj. olsztyńskiego, ze szczególnym uwzględnieniem roli warszawiaków we współżyciu zbiorowym". Ciekawe, jak się socjologowie zapatrywali na rolę, jaką pełni w tamtym kraju „Życie Olsztyńskie", informując tamtejsze „obecne społeczeństwo" o „starych pieśniach mazurskich" w ten sposób, jak to uczyniło w omawianym artykule. W piśmie tym bowiem pracują sami warszawiacy: jest to mutacja „Życia Warszawy".

DWAJ LITERACI — Marian Piechal i Kazimierz Truchanowski — ogłaszają w Nr 9 „Warszawy" zabawny „Słownik" współczesnych literatów polskich, ułożony wedle epitetów, czyli — mówiąc po staropolsku — wedle imionisk, jakie każdemu z nich należałoby w dzisiejszych czasach przydać. A więc np. Brzechwa jest „dziecinny". Broniewski „międzypartyjny", Wasilewska „ościenna", Andrzejewski „przeobrażony", Pruszyński „układny", Kruczkowski „urzędowy", Gojawiczyńska „zakratowana", Huszcza „zaściankowy", Borejsza „zbawczy" itd. itd. Ogółem stu ośmiu literatów, dowcipnie scharakteryzowanych, znalazło się w „Słowniku". Felietonista „Tygodnia" Jerzy Wyszomirski (on-że St. Łatka) otrzymał przydomek „wyosobnionego", co uważa za zaszczyt i przyjemność.

„CORAZ TRUDNIEJ żartować w Polsce" — stwierdza w „Nowinach Literackich" ich kronikarz tygodniowy St. Ryszard Dobrowolski czyli Ryś, jak o nim mówi Minkiewicz. Dla wielu z nas to stwierdzenie jest od dawna truizmem. Ryś dopiero teraz doszedł do niego. I, nie mogąc żartować, czyni rzecz inną: zgodnie ze swoim drapieżnym imieniem zaczyna gryźć. Jego ostatnia kronika (Nr 19) pełna jest zwrotów w rodzaju: u diabła, mleć ozorem, po kiego licha, kawiarniana hołota, arcyhultaje, zaczadziałe mózgi, łajdaki, szantażyści, durnie... Zastąpmy w żartach rozsrożonego kronikarza i zanućmy mu: Oj Ry, oj Ry, oj Rysiu mój, jakiż to ostry język twój!

PIERWSZA STRONA Nr 30 „Odrodzenia" poświęcona jest Jarosławowi Iwaszkiewiczowi jako tegorocznemu laureatowi nagrody literackiej tego pisma. Na stronie tej widnieją przemówienia, wygłoszone przez trzech członków jury — M. Dąbrowską, W. Kubackiego i St. Pigonia — podczas wręczania nagrody. W przemówieniu Marii Dąbrowskiej jest ustęp, wielce finezyjny i subtelny: „Jednomyślność, z jaką oceniliśmy ostatnią twórczość Pana, świadczy o tym, że gdy rzecz jest bezspornie dobra, nawet w Polsce wszyscy się na nią godzą". Słówko „nawet" czaruje swym ironicznym wdziękiem.

St. Łatka

Jan Wiktor

TAJEMNICA ŁOSOSIA

— Kiedy łosoś poczuje, że na niego czas, wtedy zabiera się w drogę i wędruje pod prąd na tarło, o, w takie miejsce jak tu, żeby nie było wirów i głębizny. A ryba, co przewodzi, jest samicą, idzie na przodku zawdy słorcu wody się trzyma i pilnuje, żeby na płyciznę nie zejść, ani pod oczy ludzi. Wie, co ona znaczą. Takie stado płynie, że aż czarno nieraz w wodzie, a taka ruchawica aż wszystko kiębi i trzepoce. Z tej kurniawy mało która ryba dojdzie, bo dużo ich po drodze wyginie. Wszędzie zdrada. W jedne i te same miejsca wracają i w nich się wycierają — mówił góral wpatrzony w zaciszną toń Dunajca, odbijającego w swej głębi jesienny urok ziemi, przedziwne ukształtowanie skał, zieleń lasów i błękit nieba ożywiony obłokami.

— Dlaczego tak?

— Któż to wie? Taka wola i nakaz. Pewnie są tutaj jego rodzinne strony. Żebyś był w Amerykach, Afrykach, to cię nie cieszy, a ciągnie do swoich, gdzieś się upiągł, bo tu i słonko jaśniejsze i cieplejsze, i ziemia milcza, i wszystko, na co patrzysz, raduje cię.

— Chyba tutaj przebywał przed prawiekami, kiedy jeszcze morza zalewały tę ziemię.

— Okrutne morza zalewały. Starzy ludzie opowiadają. Wiecie, to tak było...

Nie słyszę ludzkiego głosu. Fale Dunajca powierzyły swój rzeźki szelest smrekom i bukom wspinającym się po skalistych zboczach, i mam uczucie, że górą płynie zielona rzeka, wieczyście szumiąca, zdążając ku dalekiemu niebu, którego nigdy nie dosięgnie, bo ono spoczęło na dnie niespokojnych wód, błękitem się stało dla przelotów obłoków.

Wisła to matka zagarniająca wody polskiej ziemi, a Dunajec to najmilszy jej syn, zbuntowany poeta i zwariowany malarz, żyjący poto, aby stwarzać piękno dla wszystkich wieków.

Wspaniały awanturnik, niepohamowany szaleniec, przedziera się przez łańcuch górski, wyrębuje przejście niezmierzonym wysiłkiem fal, w równiach zaś ujarzmia się, płynie spokojnie łożyskiem przez siebie wytyczonym, aby w czasie powodzi rozszaleć i ludzom okazać swoją potęgę, nieposkromiony żywioł. Pod Opatowcem, pamiętającym chlubną przeszłość i legendę o apostolstwie i ascezie św. Swierada, wpływa cicho, pokornie do Wisły, jakby pokutnym szelestem wpraszał się, aby go przyjęła. — Tutaj jednoczy się z nią, wciela swe wody, powiększa jej rozmiary. Widocznie jednak nadaje jej znamiona odrębnego życia, bo to wyczuwa łosoś, tułacz mórz. Dla niego i Wisła i Bałtyk pachną Dunajcem.

Rozlewisko wiślane, leniwo płynące po dolinie, napotyka kłębowisko morza bałtyckiego spienione, zwirzchrzone bujnymi grzywami i łagodnie wsącza się w nie, rozpływa pozornie bez śladu.

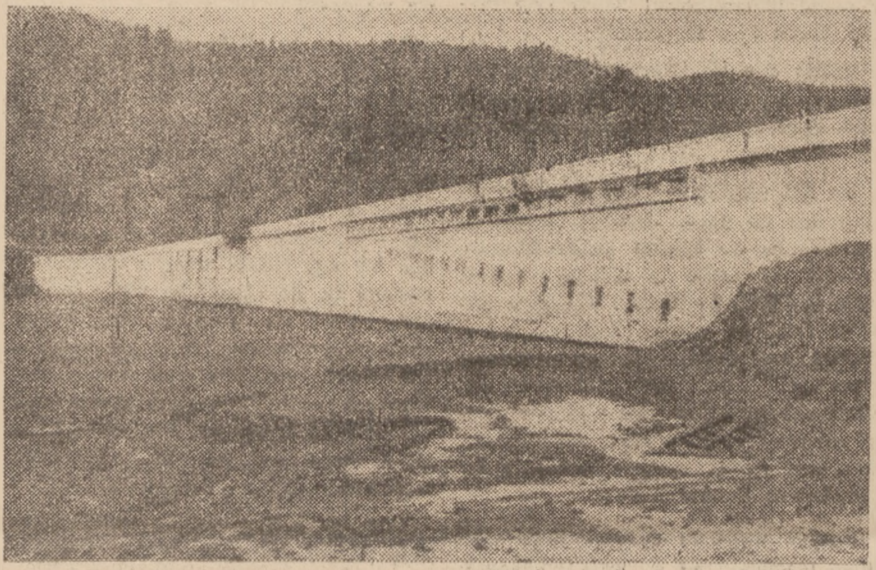
Wody wiślane, jednoczące w sobie wody całej Polski, wszystkich dopływów najdalszych zakątków niosą też bystre fale Dunajca, jego prądy niesforne przypominające górską Ojczyznę.

Łosoś żyje w wodach Bałtyku w ich zasięgu dorasta, nabiera sił do rozbójniczego życia. Po paru latach w pewnej chwili słyszy prawieczne wezwanie, o którym mówił góral, zawraca i podąża ku wiślanemu korytu. Przełamuje wzburzone skiby morza namaszczone dunajcową wodą i prze naprzód, aby odbyć daleką, bo 1000 kilometrów, wędrówkę szlakiem wszystkich pokoleń w tym samym czasie podążających ku górskim zaciszom.

Nieprzeliczone gromady, uszeregowane wedle nakazów instynktu i doświadczeń tysięcy lat, płyną z samicą na czele, spełniającą rolę wodza. Gdy któraś ryba teraz odniesie ranę, zaraz zawraca, bo wie, że skaleczenie może być przyczyną śmierci w słodkich wodach zatrutych miazmatami życia ludzkiego. Słona, rzeźka woda morska wymyje i wyleczy.

Na każdym kroku, za każdą falą czyha zasadzka, toteż łosoś nauczony ostrożności, z ustąpieniem nocy, zapada w wodne odmęty aby nie wybłysnąć w słonecznym świetle i nie zdradzić swej obecności, aby nie dosięgło go oko ludzkie, będące zawsze najczujniejszym stróżem i pomocnikiem podstępu i zwiastunem śmierci. Dopiero po zachodzie wyrusza dalej, wierząc tylko ciemnościom. Księżyć choćby pełnią zalał toń, gwiazdy choćby najjaśniej zaświeciły, to nigdy nie wyjawią jego obecności. Przewodniczka, czujna na każdy hałas, ostrożna, znająca tysiączne sposoby niosące zagładę, omija je i strzeże drużyny powierzonej opiece przez prawo przyrodzone.

Siła łososia zwiększa się, aby mógł pokonać przeszkody spotykane na ogromnej przestrzeni oddzielającej morze od Dunajca. Ogon się wypręża, nadaje kierunek, spełniając rolę steru, piętwy zmieniają się w niechybne wiosła, czy posłuszne skrzydła, a paszcza w grot przeszywający toń i odpierający natarcia



Zapora wodna w Rożnowie

wrogów. Żadne niebezpieczeństwo go nie przeraża w osiągnięciu prawiecznego celu, żadna przeszkoda nie odstrasza, ani wody zanieczyszczone ściekami, nasycone trucizną. Nie idzie po żywność, niczego nie zdobywa, bo wedle zapewnień uczonych podobnoć o głodzie podąża do ojczystej rzeki. Tęsknota go pędzi i wszechwładny rozkaz zachowania gatunku. A ma dokonać tego nie gdzie indziej, ale właśnie w Dunajcu, bystrym młodzieńczym, szalonym, a tak pięknym i kryjącym wszystek czar tej ziemi.



Na jeziorze rożnowskim

Łosoś w tej wędrówce, zmienia się w srebrny pocisk tęsknoty i miłości przebijający ogromne zwały wód.

Jest to wędrówka godowa po śmierć.

Nad Wisłą, płynącą leniwie, gnuśnie tkwi rybak znający dusze umiłowanej rzeki, zagradza jej bieg zdradliwym płotem, zarzuca sieci, więcierze, pławnice, w nocy wyjeżdża z łuczywem, przynęca blaskiem, czyha z widłami, lub ością żelazną, aby rybę do dna przygwoździć. Na brzegu zjawia się postać z granatem, kupionym za znój narodu. Dunajec rozmnaża ikrę, narybek, aby Bałtyk przyjął go, żywił a później darzył Polskę smakowitością łososia. Zbrodnicze ręce rzucają setki grzmotów, niszcząc wszełkie życie zatajone w odmętach rzek.

Jeszcze nie tak dawno Wisła w zabrudzonej toni pod mostami, spinającymi brzegi, odbijała strzeliste wieże, patyną powleczone dachy, osędziałe zarysy budowli, wspomnienia piękna zmienione w kształt wykuty w kamieniu. Dzisiaj tutaj piętrzą się gruzy, bo miasto żywe, oszałamiące, zmieniło się w kamienny cmentarz, kryjąc pod rumowiskiem wielkość przeszłości, wszystek wysiłek wieków i pokoleń, zwłoki dziejów zamordowanych rękami shańbionego człowieka, ogarnionego szaleństwem zniszczenia.

Rzpościera się martwota i cisza.

Czasem rozłupane drzewo wydziera się ze sterty ruin i biegnie na brzeg, pochyla się ku wodzie, usiłuje coś czynić i wciąż porusza pokaleczonymi ramionami. Jest podobne do człowieka, który usiłuje zanurzyć ramiona w toni i wydobyć z głębin skrawione życie tego miasta, światu pokazać, niebo wstrząsnąć, ażby słońce pociemniało od grozy. Na jednej gałęzi odrodzona zieleń szeleści kilku liśćmi. Coś pragną opowiedzieć, jednakże boją się przerazić fal przepływających, więc tylko drżą nieustannie. Na opuszczonym brzegu stoją żałobne postacie, mające niemą obecnością świadczyć przed pokoleniami i wołać o zbrodniach dokonanych na szalonej ziemi.

Pod skłonem nadrzecznych topoli, na krawędziach zagonów, wśród wiklin, kęp zarośli, piętrzą się wzgórki naznaczone prostym krzyżem, wystruganym w pośpiechu, dźwigającym hełm, albo podziurawioną czapkę. Czasem jest to pień brzozy, czasem kawał sosny uperlony soplami żywicy, spowitej koroną, z drutu kolczastego. Martwe drewno zastępujące żywego człowieka, rozpościerającego ramiona, mówi napisem na tabliczce kogo pilnuje, czyją krew w siebie bierze, czyje rozstrzelane serce osłania. Na tych pagórkach wieńce się barwią, czerwień przeważa i strugą spływa, jakby to z najgłębszych ran krew chlusnęła i zastygła.

Mijające fale usiłują dosięgnąć, obmyć. Daremnie się trudzą. Plusk słychać.

Nieprzeliczona ilość po drodze takich umęczonych drzew, nieprzeliczona ilość takich grobów, żyjących czcią, a także martwych zapomnieniem.

Spłynęły śniegi. Strumyki zbiegają szczelinami, jakby słoneczne jaszczurki przemykały się wśród szarej gleby, rdzowych zeszłorocznych traw. Budzi się wiosna. Wylewa się zieleń popryskana barwami. Płoną kaczeńce, żywe ognie zatopione w wodzie. Migają motyle, duchy woni, ulatujące z rozkwitających kielichów, zmienione w lot i kolor. Świtezianki, śliczne krzyżyki, wyrobione z ciemnego błękitu lśnią nad topielą. Wszędzie pełno gwaru i trzepotu. Zagaje i wikliny słowikami rozbrzmiewają. W nocy ożywione dźwiękami grudy mroku opiewają radość miłości, czekając świtu, aby złowić promień i przeistoczyć go w najpiękniejszą melodię dzwoniącą zachwytem i uwielbieniem.

Noc i poranek jest milionem dźwięków zjednoczonych w pieśń.

Łosoś w dzień kryje się w zakątkach wodnych a nocą pruje ciemności, wyścielone odbitymi gwiazdami.

Drogę zagrodziła przegroda nieznana, dotychczas niespotykana. Tyle wieków łososie tędy swobodnie przepływały. Wprawdzie w tym miejscu jeżył się skalny grzebień zrodzony z legendy, ale jego spienione wiry łatwo można było przeskoczyć. Teraz wyrósł mur bez kamieni, bez cegły, jednakże z samej twardości i wysoczyzny. Wśród przybyszów powstało zamieszanie. Połamały się szeregi. W wirowisku wzburzonym rzuty w lewo, w prawo, gwałtowne badania od brzegu do brzegu, poszukiwanie wolnej ścieżki, wyprowadzającej stąd ku pienińskim dalom. Wszędzie to samo. Nie jest to skała, ale obca bezduszna moc.

Beton rożnowskiej zapory.

Przecież muszą dotrzeć do czystych górskich wód, aby wypełnić wolę swego gatunku, przeżyć kres miłości i w zacisznym zakątku złożyć ikrę, zalążek życia. Więc przewodniczka atakuje. Skok. W słońcu wybłysnął kształt i zmienił się w oszczep ciśnięty potężną siłą, mający

(Ciąg dalszy obok)

(Ciąg dalszy ze str. 6)

zdruzgotać pancerz odgradzający od błogosłowionej krainy. Daleko od wierzchołka. Opada srebrny cios. Mistrzowskim ruchem, sprężystością zgiętego ciała, uderzeniem ogona odbija się po raz wtóry i całym rozmachem uderza w przeszkodę.

W wielu miejscach rozbłyskują mgnienia i gasną. Tak często wypływa na powierzchnię martwe ciało. Łososie giną, lub poranione odpływają w dół, unoszone prądem. Już nie dosięgną upragnionych zakątków górskich, do których dążyły tak wytrwale.

Coraz to inny łosoś zmieniony w pocisk uparcie uderza w ścianę cementu.

Tylko niewiele wyniesie przepławka, zakosami wspinająca się do góry, i wypuści na wolne wody rożnowskiego jeziora. Dawniej każdy łosoś tak łatwo przeskoczył skalny próg i kłębowisko wodospadu. Groził mu tylko kłusownik i wędkarz, oszukujący go sztuczną muszką.

Wędkarz nadal stoi wpatrzony w bystre fale, wiry i stwarza najwspanialsze opowieści o przygodach jakby przez topielice powierzone dla wzbudzenia podziwu.

W lecie, w czasie upałów, czatuje na łososia pijawka, wgryza się w ciało głęboko. Ryba w skurczach wyskakuje na żwirowatą wysepkę, na wystercząjące grzebienie skalne, by pozbyć się wroga. Miota się. Wtedy wąż przepełzający po powierzchni Dunajca podnosi głowę i zastyga, i znów odpływa, dziobem i pstrym upierzeniem zatrzepoce w powietrzu. Pluszcz — czujny strażnik, tkwi na kamieniu bez drgnienia wpatrzony w toń, spłoszony trzaskiem miotającego się srebra przerzuca się przez rzekę, opodal nieruchomieje, aby ronić kropelki głosu w topiel szumiącą.

O świcie gromada saren zroszoną ścieżką ostrożnie schodzi pod wodzą najbardziej doświadczonego. Drobne racice zatupują, potrącając gruzełki żwiru, wznieciając drobny plusk. Sierść zardzawi się we wstającym słońcu. Kształt odbija się w wodzie. Piją zaróżowioną toń, jakby zjawę wschodu, spoczywającą w głębinach.

Czasem wyłoni się z zieleni smreków zabłąkany jeleń, cieniem muśnie igliwie, spłoszy ptaka z trzepotem odlatującego w płonące niebo. Stanie nad potokiem, rozgałęzi wieniec rogów, legendarny krzyż objawi temu, kto z wiarą na niego patrzy.

Pod Hubą umiłowane miejsce dla łososi. Tutaj nad bystrym nurtem unosi się przybysz z dalekiej Wisły, który ten zakątek szczególniej sobie umiłował — rybitwa. Wyszywa zarysy swego lotu w powietrzu błyskami skrzydeł. Opada nisko, głaszcze pluskającą powierzchnię, wynosi zdobycz i podrywa się do góry. Zdaje się, że to fala wyprysnęła zmieniona w kształt ptaka. I tak co chwila plusk fal wzlatuje.

Zbocza gór żółknieją, złocą się wrześniowymi liśćmi, płoną październikowymi ogniami, przybierającymi różne odcienie i odmiany. Niewidzialne ręce rzucają głownie w szmaragdową toń. Zieleń smreków pławi się w pożarach buków. Wody Dunajca łunami się zapełniają, złocą się i płoną wszystkimi płomieniami jakie jesień stwarza.

Jeszcze żyje stara opowieść, że boginki, topielice, z zamierzchłych czasów i z legendarnych wierzeń, obmywają w blaskach kamienie zbrudzone w lecie. Wtedy przez przeźroczystą toń widać dno chyba klejnotami wysłane. Przesłonecznione gaje, wodne polanki, stają się zaczarowanymi grotami dla królewicza, przybywającego z dalekich mórz — łososia. Ten zawierzył ludziom, pozbył się lęku i wypływa na płytkie miejsca, nie zdając sobie sprawy z grożących mu nadal niebezpieczeństw.

Wpatrzeć się w przezroczystą toń, a z mgnień ruchów można poznać tajemnice życia, jedyne w tym czasie. Zdaje się, że to srebrne wrzeciona przerzucane niewidzialną ręką spełniają ważne zadanie.

Łososica spoczywa niby zaklęta królewna, przedmiot uwielbień, a obok łososie podobne do bojowników w srebrnej zbroi, toczą bój o prawo zapłodnienia. Jeden drugiemu zadaje ciosy tak gwałtowne, że nieraz kończące się pokaleczeniami. Wszędzie obowiązuje ta sama zasada, toteż zwycięża najmocniejszy, lśniący przepychem swego stroju.

Samica paszczęką i ogonem podważa, potrąca kamienie, a bystry prąd odnosi



Ruiny zamku w Czorsztynie



Bogactwo Podhala

je niżej. Trudzi się długo, aż zagłębienie wyżłobi, wtedy dno wygładza, jakby najczulsza matka, ścieląca kołyskę, dotyka lekkimi uderzeniami płetwy, w ten sposób czyści, omiata, usuwa glony, muł, wszelkie zarazki mogące zaszkodzić potomstwu.

— Przyźryjcie się dobrze — nakazuje góral, leżący bez ruchu na brzegu z wzrokiem utkwionym w wodę. — Rybaczyłem w dawniejszych latach, dużom widział, zawdy mnie ciągnie do rzeki. Nigdy nie mogę się nadziwić dość temu, co widzę. O — wskazał ręką — pyskiem ryje, wywróci się, raz w tę stronę, raz w drugą i kamienie rozsuwa. Samiec pilnuje, odgania inne ryby, bo wszędzie dość złości i zawiści. Pracują obydwoje, żeby wyrobić tarlisko.

Nadchodzi najważniejsza chwila: składanie ikry. Samica tkwi na dnie wyżłobienia, a wyżej ponad nią nieruchomieje samiec, rozbłyskujący urodą, blaskiem srebra, świetnością stroju godowego.

— Teraz, wiecie, teraz wiecie — szeptem rozgorączkowanym oznajmia góral — samica tiga na bok, zwija się, przekręca, ugniata brzuch i tak wyciska ikrę, a samiec zalewa mlekiem. Zaraz od tego woda się mąci, jakbyście wpuścili kropię kaniiny. A nie da mu stać, musi uważać — wskazywał na gwałtowne ruchy nieraz aż kłębiące głębie. — Przegania pstrągi, bo mu chą zeżreć nasienie.

Co chwila powstaje zamieszanie, plusk, wiry, kotłowisko. Samiec uwija się za mgnieniem ryb, rozpierzchających się w popłochu.

— Tu skoczy, tam się ciśnie, roztrzaska wodę, narobi hałasu i zaraz wraca na swoje miejsce. Z jednej strony zachodzi, z drugiej, dociera się do samicy. Woda się mgli.

Mlecz obłokiem otacza ikrę.

Niezmordowany strażnik przebiega w różne strony, rozdziela ciosy, odpędza wrogów i wraca na swoje miejsce, aby w spokoju wypełnić obowiązek. Ciało głaskane pieszczotliwie falami błyszczy niby zbroja średniowiecznego rycerza, walczącego w słońcu o najwspanialszy skarb — o miłość. Jest świetnością i królewską ozdobą tych wód.

Unosi się zwiewna mgła, przytłumionego zmąconego światła, otulającego drobne różowe ziarna. I oto w dymie wodnych kadzielnic dokonuje się obrzęd przeistoczenia. Pierwiastek męski łączy się z pierwiastkiem samicy, w zaród nowego istnienia, które jest rozmnożeniem gatunku, dalszym łańcuchem życia.

Po skończeniu tarła, budują wzgórze nad owym wyżłobieniem. W świetle dnia, w mroku nocy rozjaśnionej gwiazdami i księżycem, mozolą się, wznosząc siedzibę chroniącą potomstwo przed nieprzyjacielem i mrozem. „Gdy przejdziemy się — pisze znawca życia ryb i zażarty miłośnik okolic dunajeckich Br. Romaniszyn — późną jesienią wzdłuż brzegów Dunajca, spowitych jedwabistą mgłą pajęczyn babiego lata, wpatrzymy się w wesołą przeźroczystą wodę, która gdzieś spieszy, dokądś nieustannie pędzi z tajemniczym szumem, dostrzeżemy po pewnej chwili kamienne kopce wznoszące się tu i ówdzie na dnie rzeki, w miejscach o silnym a nie głębokim prądzie. Są to tak zwane tarliska łososi. Przedziwny instynkt, nieugięta przezorność i troska o przyszłość gatunku zbudowały te kamienne kopczyki".

— W jesieni 1928 roku — zwierza się góral siedzący obok — dziwne mi to było, że nigdzie nie widziałem kopców łososiowych. I to samo inni mówili. Może wzgardziły naszymi stronami. Żal mi było. Dopiero później wiedziałem dlaczego. W styczniu i lutym 1929 nastała taka zima, że drzewa pękały, gonty trzaskały i nijak nie można było wyźrzyć na boży świat. Tak zamurowało Dunajec, że żaden ptak wody się nie napił w Pieninach. A nawet gdzie niegdzie to do dna zamarzło. Łososie przewidziały taki okres i składały ikrę na głębiźnie. Ale w następnym roku już na płyciźnie, bo zima była lekka i nikogo nie skrzywdziła.

— Czy to możliwe? — wyrażałem zdumienie i powątpiewanie.

— O wielu rzeczach nie wiemy nic. Czasem i od ryby trza się uczyć i brać przykład.

— Już ta ryba ma więcej rozumu niż człowiek, bo swój pierwotny mądry rozum stracił, a teraz z papieru bierze, lichy, do niczego.

— Kto każe budować kołyskę dla potomstwa głęboko, na wiele dni przed mrozami mogącymi zagładę? Czyja moc kieruje? Jaka wiedza okazuje przestrzeń czasu? Czyja władza sprawia, że ta bezbronna ryba w odmętach wód przeziera dal i wykrada tajemnice przyrody? — pytam rzeki przemawiającej szumem i pluskiem fal, płynących jednako od wieków ku Wiśle, ku Bałtykowi.

Po skończonym tarle samiec, porzucony w zaciszu, umęczony, odarty z blasku, w przeważnej części ginie. Przypłynął po śmierć z miłości. Samica okazuje żywotność czułości macierzyńskiej, owija kopiec jakby kochającym ramieniem, gotowym walczyć w razie zagrażającego niebezpieczeństwa do ostatniego poruszenia płetwy, do ostatniego ciosu paszczeki.

Wśród przebiegających fal zostaje miejsce miłosnych igraszek, walk i uciech, gniazdo nowego życia.

— Po tarle łososie spływają w dół z listopadnicą.

— Z listopadnicą? — pytam górala.

— Kiedy jesienne ulewy zamulą Dunajec, prąd przepływający przenika ścianę schroniska, oczyszczony z wszelkich naleciałości, obmywa i ożywia różowe ziarenka. W ciągu mniej więcej pięciu, sześciu miesięcy, zależnie od warunków, lęgnie się narybek. Kopiec pęka i gromada wypływa, jednakże nie opuszcza miejsca swego urodzenia, kryje się w szczelinach, pod żwirem i kamykami.

„W pierwszym okresie swego wzrostu wygląd ich był dość dziwny — opowiada inż. Kolder, badacz wodnych tajemnic. — Leniwie poruszały się, a przeszkadzał im w tej czynności woreczek mieszczący się po stronie brzusznej ich ciała. Nie mogąc jeszcze pobierać pokarmu na skutek braku połączenia jamy gębowej z przewodem pokarmowym, przyroda obdarzyła ich wspomnianym woreczkiem, z którego czerpały pożywienie. Zmniejszał się on z każdym dniem, a kiedy natura rozbłysnęła w pełni swej wiosennej krasy, znikł zupełnie. Od tej chwili dobrze już wykształcone młode rybki, zaczęły ostrożnie opuszczać swe kryjówki, oraz zapoznawać się z otaczającym je środowiskiem, polując za pożywieniem. Po sześciu miesiącach życia łososik mierzy już 8 cm długości — stwierdza Br. Romaniszyn — po upływie roku waży 70 — 100 gr, osiąga długość 12 — 15 cm i staje się podobny kształtem i ubarwieniem do pstrąga. Mnogie niebezpieczeństwa czyhają nań wokoło, trzyma się więc miejsc niegłębokich, żyjąc zwykle między kamieniami w pobliżu rodzinnego kopca. Mija pierwsza, druga wiosna i nadchodzi trzecia. Łososik zmienia się bardzo; jego korpus okrył się srebrną łuską, niby nową zbroją, pod którą zniknęły dawne czerwone cętki. Zdaje się jakby stracił apetyt, rzadko już podnosi się po płynącą na powierzchni wody muchę. Nagle pewnego dnia, jakby wiedziony jakimś wezwaniem, odwraca głowę w dół prądu i wraz ze swymi towarzyszami zaczyna płynąć w daleką podróż do nieznanego morza."

Znów w oznaczonym czasie zapachnie mu górska rzeka, znajdzie go na niezmierzonych wodach Bałtyku święty, nieodwołalny głos, dobyty ze szmeru dunajcowego, wzywającego do powrotu w rodzinne strony, aby spełnił odwieczny obowiązek wobec gatunku — na gody, na tarło. Przybywa zawsze w te same miejsca — o ile powódź w międzyczasie nie zniszczyła ich — gdzie znajdowało się tarlisko ojców. W zagłębieniu żwirowatym, jakby w gnieździe wyplastowanym piersią matki, wygładzonym najczulszymi dotknięciami, składa ikrę.

Co roku powtarza się niezmiennie ten sam obrzęd.

Łosoś, ten żubr polskich wód, rodzi się w górach, wraca do morza, aby róść, nabierać sił w burzliwych falach, jednoczących się z oceanami, ogarniającymi świat. Tęsknota pędzi go do Dunajca. Wiąże góry z Bałtykiem, południe z północą, ten wysłannik prawiecznych, legendarnych mórz, powstałych z epoki lodowcowej, żyjący ich wspomnieniem w zacisznych zakątkach pienińskich, ze srebra, z szumu i błękitu, będących pięknem i ozdobą świata.

Naprzekór czasom dzisiejszym, w których mury Warszawy zaczynają pustoszeć, kto bowiem tylko może wyrusza na wywczasy — na letnie mieszkanie, na kuracje, czy na wycieczkę, przed stu laty stolica ówczesnej Kongresówki miała w lecie swój najbardziej ożywiony sezon, zielonym karnawałem zwany.

Skąpana w słońcu, zatopiona w zieleni, która ożywiała niemal każdy wolny od zabudowania skrawek ziemi, osuszona z błota, w którym grzęzły wszystkie place i ulice w pozostałe pory roku z braku bruków kamiennych i chodników — Warszawa owych czasów promieniała swą krasą, toteż ściągała do siebie cały kraj, a nadewszystko ziemiaństwo.

Obszarnik, gdy tylko zorientował się w stanie swoich plonów, sprzedawał zboże „na pniu", wydzierżawiał sad lub brał pożyczkę od lokalnego lichwiarza na rachunek przyszłych wpływów z gospodarstwa, zostawiał majątek swój pod opieką rządcy czy ekonoma i pędził „do stolicy". Własnymi końmi ze służbą dworską ciągnęły drogami całe kawalkady. Do zwiększonego ruchu przyczyniała się także niedawno uruchomiona pierwsza kolej żelazna, doprowadzona z Warszawy do Częstochowy i Łowicza, oraz „poczta kurierska", utrzymująca dyliżanse na ważniejszych traktach...

Przynętą do podróży — poza chęcią zabawy — był doroczny urządzany w Warszawie

Targ świętojański na wełnę

Od połowy czerwca ciągnęły ze wszystkich stron do Warszawy wozy naładowane owczym runem. Ładunki ważono na specjalnych wagach na placu Teatralnym i na placu Krasińskich, gdzie składano towar w przeznaczonych do tego szopach. W ślad za wozami ciągnęli hodowcy, kupcy i przemysłowcy. Wyrocznią dla cen wełny w Warszawie był doroczny jarmark we Wrocławiu, ściągający wełnę z Dolnego Śląska z Sudetów i Saksonii. W roku 1847 cena na wełnę we Wrocławiu podskoczyła o 5 — 6 i o 8 — 10 talarów na cetnarze (za piękną wełnę śląską), co oczywiście odbiło się również na cenie w Warszawie, którą kalkulowano wedle cen wrocławskich na 64 — 66 talarów (za I gatunek), 56 — 60 za gatunek „ordynaryjny" i 43 — 55 za tzw. drugie strzyżenie.

Towaru było dużo, a obroty wielkie, Kongresówka bowiem w tych czasach uprawiała hodowlę owiec na wielką skalę, w roku 1846 liczono bowiem w kraju baranów — merynosów 26.308, owiec — merynosów 367.976, baranów zaś pospolitych 73.516 i owiec 915.625 oraz szkopów 625.332. Nabywcami wełny byli fabrykanci z Warszawy, Łodzi, Tomaszowa i z Białegostoku. Nie brakło również kupców zagranicznych, ciągnących po tańszy towar ze Śląska austriackiego, pruskiego i z Saksonii.

Równocześnie z jarmarkiem na wełnę urządzana była w tych czasach w Warszawie

Wystawa przemysłowa
płodów krajowych oraz zwierząt gospodarskich.

Wystawa połączona była z wyścigami konnymi i rozbijała swe namioty na „ślicznym — cytujemy relacje ówczesnego reportera „gazeciarskiego" — błoniu mokotowskim".

Wśród wystawców największe wzięcie miały: fabryka maszyn rolniczych spod Suchedniowa i Zuchna pod Krasnym Stawem oraz z zakładów mechanicznych Steinkellera na Solcu w Warszawie, który dawał „pokaz modeli maszyn dotąd u nas nieużywanych" — jak głosił ówczesny kronikarz „Kuriera Warszawskiego".

Na wystawę i połączone z nią wyścigi konne, na których przeważały biegi dżentelmeńskie do dobrego tonu należało przybywać konno lub co najmniej w powozie. Wejście na wyścigi kosztowało na główną trybunę zł. 3, a na galerię boczną 1,20 gr. W razie niepogody bilet służył na dwa dn

Kazimierz Pollack

Zielony karnawał Warszawy przed 100 laty

Członkowie Towarzystwa wyścigów konnych, właściciele stajni i jeźdźcy otrzymywali oprócz biletów wejścia karty specjalne, które zatknięte za wstążkę kapelusza upoważniały ich posiadaczy do wejścia poza ogrodzenie toru — wewnątrz — jak to się wówczas nazywało — szranków.

Z pięknymi powozami i końmi rywalizowały na mokotowskim błoniu panie swymi strojami.

Przegląd mód w r. 1847

Płeć piękna — pisał ówczesny kronikarz — wystąpiła na ostatnich wyścigach w strojach następujących:

„Kapelusze o wielkich rondach słomkowe, przybrane suto kwiatem jaśminu, tulipanów, czerwonych stokrotek, bławatków i róż. Pod kapeluszem loków mało, włosów gładkich, ślicznie czeszących się coraz więcej. Suknie z „tartakanu drukowanego" w przeróżnych kolorach. Na sukniach szale z krepy chińskiej w prześlicznych kolorach białym i czereśniowym, panowie w surdutach z guzikami w jeden rząd, z połami szerokimi, w kamizelkach długości niesłychanej, w rajtuzach i pantalonach w ogromne kraty. Kapelusze miękkie z szerści szczura morskiego (cylindry). Na szyi halsztuk „slipse" lub chustki różne atłasowe".

Po wyścigach wielka kawalkada wyruszała w Aleje, gdzie dawano sobie „rendez vous" w modnej kawiarni.

W „Ogrodzie Róż"

od którego otrzymała swą nazwę dzisiejsza Aleja Róż. Tu specjalnie utrzymywani przez właściciela kawiarni masztalerzy obejmowali pieczę nad końmi, poili je, karmili i czyścili, a towarzystwo zasiadało do posiłku, uprzyjemnianego przez orkiestrę złożoną z pięćdziesięciu osób. Dała ona początek późniejszym koncertom, urządzanym w sąsiedniej Dolinie Szwajcarskiej, konkurującej z „Ogrodem Róż".

Na menu tu podawane składały się potrawy: kotlet z jagnięcia, comber barani, polędwica z grzybkami, pieczeń cielęca lub wołowa, kapłon po wiedeńsku, kwiczoły, kurczaki, raki, i szparagi...

Z ryb specjalnością zakładu był sztokwisz po kapucyńsku, w którym podobno szczególnie gustował jeszcze Jan Sobieski, a następnie żona Augusta III.

Oblewano potrawy te naturalnie obficie winem i modnym naówczas „bock-bierem", holowanym Wisłą z Gdańska.



Po wyścigach dawano sobie „rendez vous" w modnej kawiarni

NUMER „TYGODNIA" POŚWIĘCONY POWSTANIU WARSZAWSKIEMU

Poprzedni numer „Tygodnia" poświęcony był trzeciej rocznicy Powstania Warszawskiego.

W numerze tym zamieściliśmy następujące prace:

ZBIGNIEW MITZNER — Lekcja histori; MARIAN PIECHAL — Warszawie; MIROSŁAW STANKO — Wybuch; Kpt. OGNISTY — Stare Miasto; JERZY ZAJĄCZKOWSKI — Podchorąży Lech.

Poza tym kolumna „Pieśń Powstania", Humor w sierpniowych dniach.

Numer uzupełnia kilkanaście oryginalnych zdjęć z walk powstańczych.

Pozostałe egzemplarze do nabycia w Administracji „Tygodnia" — Warszawa, Szpitalna 5 m. 8.

Pod wieczór panie występowały tu w „mantylach, kaszmirowych" koloru białego z pąsowym, w kapturach z piórami lub w przewiewnych kapeluszach z włosiennicy, stanowiących ostatni krzyk paryskiej mody.

Komu uczty tu było mało, ruszał za rogatki — do otwartej niedawno „Promenady" za rogatkami belwederskimi, lub za rogatki wolskie do kawiarni „WP. Kolsonowej", istniejącej tu w domu Szulca od r. 1788, jakoże był tu w sąsiedztwie kowal, który po nocy konie podkuwał i powozy naprawiał, w eskapadach kawalerskich po kiepskich drogach warszawskich niszczone.

Do programu karnawału zielonego Warszawy należał tradycyjny obchód „Wianków" na Wiśle.

W Noc Świętojańską

O godzinie 6-ej wieczorem wymierał ruch w całym mieście, kto żyw bowiem udawał się na brzeg Wisły i tu nadejścia zmierzchu czekał.

Zarząd miasta na ten dzień otrzymywał do swej dyspozycji istniejące w Warszawie orkiestry wojskowe, rybacy i przewoźnicy przybierali zielenią łodzie, a poszczególne organizacje przybywały z wiankami, które słano do Gdańska. Nie brakło oczywiście i skromnych małych wianuszków prywatnych, które na los szczęścia rzucały w fale wiślane panny na wydaniu i kawalerowie do wzięcia w nadziei, iż ich wianuszek w godne dostanie się ręce.

W związku z tym był zwyczaj przypinania do wieńców wierszyków okolicznościowych.

Oto próbki tych poezji, przed stu laty przez prasę warszawską uwidocznione:

Jestem piękna, dobra, młoda —
niczem dla mnie stroje, moda
komu schwycić się mnie uda
ten posiądzie dziwne cuda.

Inny wianek krył w sobie taki czterowiersz:

Płyń mój wianku w dzień tak błogi —
nie zastąpi ci nikt drogi,
bo mych skarbów licha miara:
czyste serce, miłość, wiara.

A i gorsza rodu ludzkiego połowa nie ustępowała w zachwalaniu cnót i zalet w Nockę Kupałową. Oto próbka:

Hej dziewice!
w mieście mam dwie kamienice
i gotówki moc nielada —
jakby z nieba wciąż mi spada.
A że to ca miłość stanie,
łapcie wianek, moje panie...

Cynizm autora oburzył kurierowego kronikarza, do zacytowanego wiersza bowiem dodał informację — miejmy nadzieję, wiarygodną:

„Nikt nie sięgnął po ten wianek, tylko jakiś pudel „popłynął powąchał, zawył i zawrócił na brzeg z opuszczonym ogonem..."

Gdy mrok nocy świętojańskiej zapadał, przestawano wypatrywać wianków na Wiśle, a tu i ówdzie na brzegu rozpalano ogniska, obsiadano je dokoła i zabawiano się przy nich do późna w noc. Ten i ów, czy ta i owa, starym ojców obyczajem, skakali przez ogień, inni tańczyli, a jeszcze inni na osobności... igrali z ogniem w mniej lub więcej poetyckiej przenośni.

O przebudzeniach po Nocce Kupałowej kroniki milczą, mówiąc tylko, że po nich nazajutrz Warszawa później niż zazwyczaj wstawała i że świecił tego dnia pustkami rojny zazwyczaj od wczesnego ranka

Instytut Wód Mineralnych

Instytucja ta była również jedną z przynęt Zielonego karnawału Warszawy. Modne od saskich czasów wyjazdy do wód zagranicznych, wskutek trudności paszportowych, czynionych przez zaborców, zastępować zaczęto sprowadzaniem wód mineralnych drogą lądową i morską, i pierwszą publiczną pijalnię ich założono w pobliżu Ogrodu Krasińskich na posesji Dukierta przy ul. Długiej.

(Ciąg dalszy na str. 9)

(Dokończenie ze str. 8)

Pijalnia, w której pierwotnie próby a później koncerty dawać zaczęła orkiestra sąsiadującego z nią Teatru Narodowego, ściągać zaczęła od rana tłumy eleganckiej Warszawy i przyjeżdżających do niej gości, straciła jednak na wziętości, gdy Teatr przeniesiono z Placu Krasińskich na Marywil.

W roku 1847 ogrodowi Dukierta mimo znakomitej cukierni Hebersta i świetnej orkiestry mistrzów Kubełki i Rajczaka, zrobił konkurencję Instytut Wód Mineralnych, świeżo założony w Ogrodzie Saskim przez pochodzącego z Drezna przedsiębiorce — balneologa dr Struvego.

Dobrawszy sobie za wspólnika i ad ministratora ruchliwego kupca warszawskiego J. L. Flatau'a, dr Struve powierzył budowę „Instytutu" swego młodemu wówczas, ale już znakomitemu budowniczemu Marconi'emu, do nagrzewania wód mineralnych do temperatury ich źródeł sprowadził specjalne instalacje i monterów z Saksonii i całość efektownie umeblował.

Główną halę pijalni zdobiły popiersia znakomitych w owych czasach lekarzy balneologów dr dr Wolffa, Brandta, Celińskiego i Czekierskiego. Dla pań urządzono wytworny buduar, dla panów wygodną palarnię, a dla spacerów osłonioną od deszczu półkolistą galerię z muszlą dla orkiestry i estradą dla solistów.

Na otwarcie Instytutu kompozytor W. Listowski wystąpił z nowym walcem pt. „Hygea".

Do Instytutu ściągać zaczęły wielotysięczne tłumy, leczące wszelkie swe dolegliwości wszelkimi znanymi wtedy na szerokim świecie wodami.

Ogród Saski stał się wtedy prawdzi wym salonem Warszawy, miejscem rendez-vous eleganckiego świata, pokazem mód, terenem załatwiania wszelkich interesów, nawiązywania znajomości i stosunków, no i kojarzenia małżeństw!

Dla tych, których nie stać było na drogie wody zagraniczne, ruchliwe Towarzystwo Dobroczynności wywiercił opodal instytutu studnię artezyjską i urządziło zdrój leczniczej wody krajowej, obsługiwany przez pensjonariuszy przytułków i sierocińców, pobierających „co łaska" na utrzymanie tych zakładów. Wodą tą przez długie lata czcili Zielony Karnawał warszawski ci, którzy nie mogli sobie pozwolić na nektary spijane w „Ogrodzie Róż", „Promenadzie" i w innych luksusowych zakładach dawnej Warszawy.

Tu również w Saskim Ogrodzie kończono Zielony Karnawał.

Na pokazie „florajów"

Była to doroczna wystawa kwiatów, owoców i ogrodowizn, od roku 1857 urządzana w pustoszejących na jesień pawilonach Instytutu Wód Mineralnych w Saskim Ogrodzie, a później przeniesiona na Bagatelę, gdy w niej osiadło Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze, odremontowawszy pałacyk Bacciarelli'ego, nadwornego malarza Stanisława Augusta.

Takie robiła Warszawa postępy, zanim została miastem milionowym — w czasach, gdy często jedynym wykształceniem dla większości jej mieszkańców było ... ukończenie pieciu klas Loterii Klasycznej, Instytutu Wód Mineralnych w Saskim Ogrodzie i niedzielnych dwu kursów autobusem od ul. Trębackiej do Mokotowa i Wierzbna. Zimująca po dwa lata w każdej klasie szkół prawdziwych, a „latująca" (bo tak się wtedy nazywały wczasy wakacyjne) u zdroju w Saskim Ogrodzie lub w jej cienistej „Alejce Literackiej" lub „Owocowej", takie bowiem nazwy miały najzacisz niejsze dróżki tego „letniego salonu Warszawy", w czasach Zielonego Karnawału przez kilka pokoleń wydeptane. Dobre to były, bo... bezpowrotne czasy.

Dr. M. STEFANOWSKIEMU, POF. U. Ł.

za dokonanie trudnej operacji i arcyludzki stosunek do chorego **Dr Dr W. Kuleszy, A. Leśniewiczowi, K. Załodze**

za troskliwość

Siostrom: Aleksandrze, Anuncjacie, Kamilli i Pauli

w szpitalu Św. Rodziny w Łodzi — za opiekę

składa wyrazy najwyższej wdzięczności

Jerzy Wyszomirski

Łódź, w lipcu 1947.

Jan Rojewski

PLOTKI ZMYŚLONE

1

Wprawdzie Wyrzykowski deklamował: „Być albo nie być" bez podkładu myślowego, ale na szczęście myślał o tym samym w tej chwili reżyser Szyfman.

2

Kiedy zapadła kurtyna po ostatniej scenie „Burzy", dyrektor Szyfman podobno milczał. Była to cisza po burzy!

3

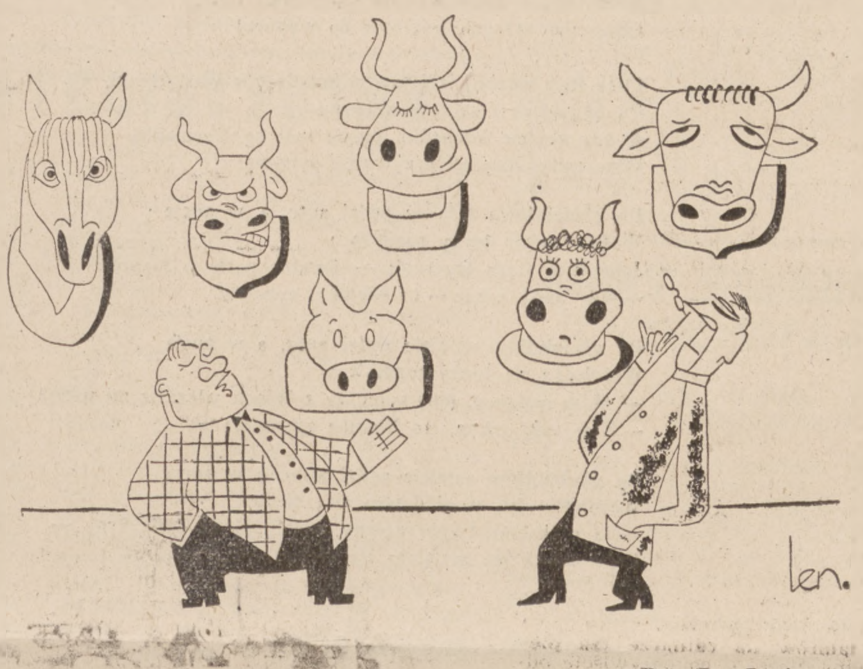
Pewnemu pisrzowi, którego żona powiła niedawno córeczkę, powiedział ktoś żartem:

— To jest chyba największe pańskie dzieło!

[illegible] — odpowiedział pisarz — ale w każdym bądź razie najgłośniejsze.

4

Podobno niektórzy pisarze nie przedstawili swoich dzieł do tegorocznej nagrody „Odrodzenia", ponieważ obliczają, że w przyszłym roku powinna wynieść 625 tysięcy złotych.



Rys. Jan Lenica

— Oto trofea zabitych przeze mnie zwierząt.
— O, to pan jest zapalonym myśliwym.
— Nie — rzeźnikiem.

FELIETON OSOBISTY

Przeszedłem dość ciężką operację z powodu której przeleżałem miesiąc w szpitalu, przykuty, jak to mówią, do łoża. Ale to przykucie nie objęło mojej głowy i rąk. Mogłem więc pisać kolejne felietony do „Tygodnia" w pozycji leżącej niczym Mark Twain albo Anatol France, którzy w ogóle inaczej niż leżąc pisać nie potrafili. Poza tym mogłem rozmyślać i czytać. Pewnego dnia, gdym poczuł się słabiej, pomyślałem, co by to było, gdybym umarł. Naturalnie, dziura w niebie by się nie zrobiła, jakby powiedział pan Zagłoba. Ale, czy by mię ktoś pożałował, oprócz najbliższych? Czy by się ukazały w różnych pismach polskich, które przemilczają dziś moją felietonistykę, jako że nie należę do żadnej koterii, czy by się ukazały jakieś „ciepłe" wzmianki pośmiertne? Zapewne tak, bo niebszczyków zwykło się załatwiać życzliwie — i żegnać. I uśmiechnąłem się wówczas, bo mi przyszła na pamięć ta oto ironicznie mądra strofa z „Beniowskiego". „O, dzika żądzo pośmiertnego żalu, jakim ty jesteś smutnym głupstwem ludzi! Zwłaszcza, że wiedziesz prosto do szpitalu — rozmarzonego, a nim się obudzi, już w jego oczach, jak w mglistym opalu, błyskają światła, szpitalnicy chudzi, mniszek pacierze, trunien robotnicy, mgła — za tą chmurą Pan Bóg nakształt świecy..."

Dogiądały mnie rzeczywiście ciche, bogobojne mniszki; w białym pokoju czułem się rzeczywiście jak w mglistym opalu po korytarzu, niewidzialni dla mnie, stąpali rzeczywiście chudzi ozdrowieńcy; nad moją głową wisiał krucyfiks nakształt świecy — i nagle, wszystko to razem, zbudziło we mnie przypomnienie egzaminu z historii filozofii, jaki składałem na uniwersytecie wileńskim dwadzieścia lat temu.

Miałem dwóch nieposplitych, acz bardzo odmiennych umysłowością i charakterem, profesorów filozofii: W[illegible] Lutosławskiego i Mariana Massoniusa. Pierwszy nie zyskał moich sympatii, dla drugiego żywiłem wielki szacunek i miłość. Ten wysoki, okazały starzec z dużą siwą brodą, łysy, o wydatnych rysach twarzy, już z powierzchowności podobny był do jakiegoś dobrotliwego „przyjaciela mądrości" czyli filozofa helleńskiego. I duszę miał również helleńską.

— Niech pan siada — powiedział z uśmiechem, gdym się zgłosił, targany niepewnością i obawą do egzaminu w jego gabinecie. Podał mi rękę, siadł na przeciwko w fotelu i wyciągnął papierośnicę.

— Papieros dobrze robi — dodał, częstując mnie. Po chwili, otoczony dymem, rzekł:

— Więc cóż? Zacznijmy. Czy wierzy pan w nieśmiertelność duszy?

Odruchowo cofnąłem się na krześle, zaskoczony i stropiony niezwykłością pytania. Po namyśle odparłem z odwagą, która mnie samego zdziwiła.

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, panie profesorze.

— Nie nalegam — rzekł z uśmiechem Massonius: — pytanie moje istotnie nie dotyczy bezpośrednio historii filozofii, z której ma pan składać egzamin, i wkracza niedelikatnie w dziedzinę pańskich przekonań osobistych, stanowiących pana własność prywatną. Tak mi się samo wymknęło, pewnie dlatego, że w filozofii, jak pan wie, nieśmiertelność duszy, życie i śmierć — słowem, eschatologia stanowi zagadnienie, nad którym każdy filozof łamał sobie głowę. A że studia nad filozofią powinny, moim zdaniem, w każdym studiującym wyrobić pewien pogląd na świat, pozwoliłem sobie pana o nieśmiertelność duszy zapytać, albowiem sądzę, że taki czy inny stosunek do tego zagadnienia musi w sobie wytworzyć każdy, kto chce mieć jakiś własny, twórczy pogląd na świat.

Pochyliłem głowę, przyznając słuszność profesorowi.

A teraz — ciągnął Massonius, sprawiając mi zawsze niespodziankę: — czy pan pamięta, jakich argumentów używał Epikur, ażeby przekonać milczącego człowieka, że nie należy lękać się śmierci, lęk bowiem przed śmiercią jest źródłem wielu nieszczęść ludzkich?

— Pamiętam. Epikur mówił tak: śmierć wprawdzie jest wielkim złem, może największym, ale to zło nie powinno mnie obchodzić, nawet nie dotknie mnie nigdy, z tej prostej przyczyny, że dopóki ja żyję, dopóki jestem na świecie, nie ma śmierci, a z chwilą gdy przyjdzie śmierć, gdy jest śmierć — mnie już nie ma. Przestaję czuć. A lękać się mogę tylko tego, co mogę odczuwać, z czym mogę obcować. Ze śmiercią nigdy obcować nie będę. Więc jakże mogę się jej lękać?

Zastanowiłem się przez chwilę.

— Dobrze. Mniej więcej tak. Czy pan uważa, że ten argument jest rzeczywiście przekonywujący?

— Nie, panie profesorze. Jeśli śmierć jest nagła i niespodziewana, a więc najlepsza, jak rozumiał Cezar; jeśli spadnie mi cegła na głowę albo porazi mię atak serca, wówczas rzeczywiście nie zdążę się zetknąć ze śmiercią i nie zdążę się jej zlęknąć. Ale gdy wiem, że mam umrzeć niezadługo... To musi być straszne. Gdy na przykład dogorywam w szpitalu na gruźlicę i czuję, jak się śmierć do mnie z każdą minutą zbliża... Albo — jeszcze ostrzejszy przykład: gdy — zdrów, silny i żądny życia — skazany jestem na śmierć, i za kilka godzin czeka mię szafot albo szubienica... Gdy prowadzą mię na śmierć, i widzę ten szafot i wstępuję nań, wówczas stykam się ze śmiercią, obcuję z nią... Myślę, że takie chwile muszą być przerażające.

— No tak — powiedział profesor przeciągle i jakby w zamyśleniu: — trudne to są sprawy. Ale w związku z tym jedno pytanie: jakiż jest stosunek pana do kary śmierci?

— Jestem jej zaciekłym przeciwnikiem — zawołałem namiętnie.

— Tak — powtórzył profesor w zamyśleniu: — dziękuję panu, złożył pan egzamin — z wynikiem... no, z wynikiem dobrym.

Ten wynik był jeszcze jedną niespodzianką w oryginalnym, krótkim, trwającym może dziesięć minut egzaminie. Nie wiem czemu, gdym leżał na łóżku szpitalnym, przypomniał mi się on z jaskrawością niezwyczajną, z taką dokładnością, że każde słowo jego brzmiało tak wyraźnie, jakby ot tu, w pokoju szpitalnym było wypowiedziane. Gdybym był rysownikiem, chwyciłbym arkusz papieru i odrysował scenę egzaminu — profesora, siebie, sklepiony gabinet, kłęby dymu z papierosów — w najdrobniejszych szczegółach. Jak tonący widzi ponoć w jednym mgnieniu całe swe życie, tak w mej pamięci i w moich oczach, jak w mglistym opalu, od tworzyła się nagle, niewiedzieć czemu, owa daleka i zapomniana chwila. Wobec tego, że czas jest ogórkowy, a w takim czasie tematów podobno zawsze brak, pozwoliłem sobie z mego przeżycia szpitalnego zrobić felieton, i proszę czytelnika o darowanie mi mego subiektywizmu.

Jerzy Wyszomirski

Stanisław Sojecki

GRYMASY

Z przygotowywanego do druku tomu satyr

Synowie John Bulla

John Bull stary trzech synów pięknych jak Valentino
Przed oblicze przyzywa raz swoje:
Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
W automaty ładujcie naboje!

Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech brytyjskie prowadzą was bogi —
Osobiście nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi!

Niechaj jeden z was goni do kwitnącej Japonii,
Są tam perły różnego koloru,
A zaś drugi niech wali do słonecznej Italii,
Gdzie win starych jest moc do wyboru!

Poza Ren niechaj leci ten najmłodszy z was, trzeci,
Po bogactwa i sprzęty domowe,
A gdy zechce kochanki, grube tam są Germanki,
Więc mnie stamtąd przywiezie synowę!

Po gładziutkim asfalcie pędzi auto, a w aucie
Wesolutka się toczy rozmowa:
John Bull stary łzy roni: — Pewnie perły z Japonii?
— Nie, mój ojcze — to Niemka, synowa!

Po gładziutkim asfalcie pędzi auto, a w aucie
Wesolutka się toczy rozmowa:
— Mam nadzieję, mój synu, że z Włoch wieziesz mi wino?
— Nie, mój ojcze, to Niemka synowa!

Po gładziutkim asfalcie pędzi auto, a w aucie
Wesolutko jak w siódmym jest niebie:
— Ja rozkazom twym wierny, ojcze, wiozę dwie Erny —
Przy okazji też wziąłem dla ciebie!

Psychoza

Raz na wyspę Guadelupę
Sprowadzono zwykłą lupę,
Bowiem ludność Guadelupy
Nic nie chciała oprócz lupy!

Ale pewnej krajów grupie
Z ciekawości w mózgach chlupie:
Co też knuje Guadelupa?
Na co Guadelupie lupa?
Bowiem chyba tylko głupi
Bez powodu lupę kupi!

Zaczem śród problemów kupy
Rośnie „kwestia Guadelupy"!

Świat zamknięty w swej skorupie
Zadrżał dzięki Guadelupie.
Listy, noty w sprawie lupy
Mkną do rządu Guadelupy,
Telefony drżą na słupach,
Już o stu się mówi lupach,
Cały glob nogami tupie
Przeciw wyspie Guadelupie,
Pachnie wojną, pachną trupy
Z racji lupy Guadelupy!...

Więc parlament Guadelupy
Widząc, co się nad nim krupi,
Wsadził posła do szalupy
Z odpowiedzią Guadelupy,
Że świat trochę się wygłupia,
Bowiem „kwestia guadelupia"
To nie żadna wojna, trupy,
Lecz zwyczajne kupno lupy —
Żeby zdobyć — obok zupy —
Nowy r y m do Guadelupy!

Historiozofia

Nie będę więcej bliźnich ganił,
Nie wytknę im już żadnych wad:
Zamilczę draństwa wszelkich drani
Przez wzgląd na sądy przyszłych lat!

Bo przyjdzie wiek dwudziesty pierwszy,
Inaczej mówiąc, za lat sto,
Potomni treść mych cierpkich wierszy
Za historyczne wezmą tło.

I będą czerpać stąd nauki,
I będą wnioski przykre snuć
O obyczajach ojców wnuki,
I na swych przodków będą pluć!

A gdy pochwalę czas dzisiejszy
I same cnoty zamknę w chór,
Choć zysk to dla współczesnych mniejszy,
Pradzieci będą miały wzór.

Nam gdyby wieszcze przed stu laty
Nie pokazali tylu win,
Mniej bliźnich szłoby dziś za kraty
I może mniej by było świń!

„Koniunktura"

Narzekasz, mój miły, na czasy ponure,
Że kliki dorwały się w prasie do biurek,
Że mafie i grupki, kapliczki i klany,
Że zespół figurek, że komplet wybrany,
A ty, choć swych płodów rozsyłasz bez liku,
Na próżno ich szukasz na szpaltach dzienników!

I stajesz na głowie i jesteś za Rządem,
Nie przeciw prądowi, jak inni, lecz z prądem,
Hymn wzniosły machnąłeś o samym premierze
Sam wierząc, że z serca, że z duszy i szczerze,
Chwaliłeś Gomułkę, kpiąc z Mikołajczyka,
Coś tylko posłyszał, toś wlot powytykał.
Przeciwko reakcji palnąłeś sto wierszy,
Że Anders to kraju jest wróg numer pierwszy,
Z odwagą cywilną, po męsku, najprościej,
Stanąłeś w obronie żydowskiej mniejszości,
O Odrze, Szczecinie płomienny artykuł,
Że wara od morza, ni kropli z Bałtyku.
Burżujom szkaradnie dogryzłeś swym piórem,
I marksizm ubrałeś w tysiące laurek,
Dowiodłeś, że jutrznia zapłonie od Wschodu,
I dałeś wskazania, gdzie przyszłość narodu,
A mimo te hasła, jak mówisz, na czasie,
Ni jeden twój wierszyk nie znalazł się w prasie!?

Dlaczego? — Boś, bracie, zapomniał doszczętu
Do wierszy tych dodać... po szczypcie talentu!

Poprawki do Tuwima

Spotkali się w święto o piątej przed kinem
Miejscowa idiotka z tutejszym kretynem.

Tutejsza idiotko, rzekł kretyn miejscowy,
Czy pragniesz pójść ze mną na film przebojowy?

Miejscowa idiotka odrzekła — z ochotą —
Bo kino ja kocham, tutejszy idioto!

Lecz nim upłynęła im w kinie godzinka,
Już była znudzona miejscowa kretynka:

Wydaje się — rzekła idiotka miejscowa —
Że film ten widziałam przed wojną światową!

A na to odezwał się kretyn tutejszy:
I ja mam wrażenie, że film jest dawniejszy!

Dziś czyżby — spytała kretynka miejscowa —
Nikt nowych już filmów nie umiał montować?

Nic na to nie odrzekł idiota tutejszy,
Lecz o to nie chodzi — jest problem smutniejszy:

Że nawet idiotka z miejscowym kretynem
Spostrzegli, iż bardzo niedobrze jest z kinem!

SIATKOZA

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymał p. Czesław Białowąs (Gródek nad Bugiem p-ta Jabłonna Lacka pow. Sokołów Podlaski) za wycinki z „Życia Warszawy".

W „Życiu Warszawy" z dnia 24 lipca r.b. Nr. 200 (986) w ogłoszeniach drobnych w dziale „Unieważnienia i zguby" „Pielach Franciszka unieważnia skradzioną legitymację tramwajową, decyzję i kartę leczniczą Ubezpieczalni Społecznej".

Biedna obywatelka! Co pocznie teraz w życiu zgubiwszy decyzję?

MUZEUM MIEJSKIE

„W Olsztynie w woj. olsztyńskim znajduje się „Muzeum Wiejskie", jedyne obecnie w Polsce typu Skanzonowskiego..."

(„Gazeta Ludowa" Nr. 200 z dnia 24 lipca b. r.) Więc ostatecznie: Miejskie czy Wiejskie?

ZNAMIENNY GŁOS DZIENNIKA PARYSKIEGO

Londyn (API). — W związku z odroczeniem pomocy amerykańskiej dla Europy „Financial Times" pisze:

„Mogłoby to mieć fatalne skutki, gdyby gospodarka europejska nadal żyła w bezplanowości w ciągu najbliższego roku. Kraje europejskie pozbędą się swych szczupłych zasobów, nastrój ludności i wola odbudowy osłabnie — wszystko po to, aby w ostatniej chwili stanąć przed wycofaniem się Stanów Zjednoczonych z zapowiedzianej pomocy".

„Financial Times" stwierdza dalej, że podczas gdy plan zachodnio-europejski jest jak dotąd fikcją, Kraje Europy Wschodniej wykonują plany narodowe z wielką energią oraz z mniejszym powodzeniem. („Życie Warszawy" Nr. 194 (980) z dnia 17 lipca b.r.)

A nam się zdawało, że większej energii powinno towarzyszyć większe powodzenie.

TAK WYGLĄDAJĄ STRASZLIWE PODZIEMIA

„...Wielu więźniów tych małych, wąskich cel nigdy już nie ujrzało innych uczuć, jak ból i udręczenie..."

„(Dziennik Zachodni" z 21 lipca b.r. Nr 171/842 wydanie południowe).

A więc bólu i udręczenia więźniowie nie odczuwają — znają je tylko z widzenia?

Sprostowanie

W nr 28 (52) „Tygodnia" omyłkowo podano pod ilustracją do reportażu ze Zgierza podpis: „Dom Wypoczynkowy", winno być: „Dom Czynszowy" i w nr 30 (54) pod fotografią członków Zarządu Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Łodzi powinno być: od lewej do prawej: kol.kol. Piątek, Jaszczyk, Wachowicz i Grudzień.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

W dniu 27 lipca rb. w sali kina „Polonia" w Legnicy odbyło się pierwsze Walne Zgromadzenie członków Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Legnicy (woj. wrocławskie), na którym dokonano wyboru nowych władz Spółdzielni. W skład Nowej Rady Nadzorczej weszli przedstawiciele świata pracy, znani działacze społeczni na terenie miasta Legnicy, reprezentujący tak partie polityczne jak i Związki Zawodowe.

Nadmienić wypada, iż dzięki zrozumieniu zasad współpracy i jednolitego frontu pomiędzy bratnimi partiami PPS i PPR obrady Walnego Zgromadzenia toczyły się pod znakiem harmonijnego współdziałania, pełnego powagi i głębokiego wzajemnego zaufania.

W obradach wzięli udział jako goście: Ludwik Surowski, Kierownik Działu Spółdzielczego na Wydziale Ekonomiczno - Przemysłowym CKW PPS, inż. Płatwiński z Okr. Komisji Zw. Zaw. Wrocław, Teodorczyk z Centrali Zw. Rewizyjnego Spółdzielni R.P. Warszawa i Tłuczkiewicz z Okr. Zw. Rew. Spółdz. z Wrocławia.

Zebranie zagaił dotychczasowy Prezes Rady Nadzorczej PSS Legnica ob. Nowicki, przewodniczył ob. Cyba.

Ze sprawozdania dotychczasowego Zarządu i Rady Nadzorczej wynika, że Spółdzielnia powstała w czerwcu 1945 roku, mając zaledwie 50-ciu członków i jeden sklep słabo zaopatrzony, obecnie zaś dysponuje 11 tu sklepami, licząc przeszło 1500 członków.

Legnicka Spółdzielnia Spożywców zatrudnia 92 pracowników, prowadzi własną stołówkę i posiada dobrze urządzoną świetlicę dla pracowników. Przy Spółdzielni powstało koło PPS.

Dzięki wytężonej i niestrudzonej pracy ob. Nowickiego, kierownika miejscowego Oddziału„ Społem" — dotychczasowego prezesa Rady Nadzorczej oraz trzyosobowego Zarządu Spółdzielni z ob. Całusem na czele, Spółdzielnia uzyskała wyniki pracy godne naśladowania — wyniki, które dumą i otuchą napawają wszystkich członków Spółdzielni.

Wielką szkodą dla Spółdzielni jest fakt rezygnacji ob. Nowickiego ze stanowiska, na którym jako prezes Rady Nadzorczej oddał tej, jedynej w Legnicy spółdzielczej placówce, bardzo wielkie usługi, o czym świadczy dorobek Spółdzielni, jaki ustępująca Rada nowej Radzie Nadzorczej pozostawia w postaci dobrze zaopatrzonych 11-tu sklepów, 5-ciu samochodów, biur, magazynu, garaży, stołówki, świetlicy oraz zaprojektowanego otwarcia w najbliższych dniach 4-ch nowych sklepów spółdzielczych w Legnicy.

Ponieważ wybory do nowej Rady Nadzorczej Spółdzielni cechowała jednomyślność tak ze strony PPS jak i ze strony PPR., jednomyślność poparta przez Powiatową Radę Zw. Zaw., należy żywić nadzieję, iż nowa Rada Nadzorcza, do której weszli z ramienia PPS. ob. ob. Warcholak, Brzozowski i Czajkowski, z ramienia PPR ob. ob. Kowalski, Siwicki i Kalago, z ramienia SL ob. Markiewicz, z ramienia SD ob. Podoba, z ramienia Zw. Zaw. ob. Czerwiec, oraz jako zastępcy: ob. Cyba (PPS), ob. Rumiak (PPR) i ob. Bobowska PPS (Ob. Liga Kobiet), spełnią pokładane w nich nadzieje i przyczynią się jeszcze bardziej do rozwoju ruchu spółdzielczego na Ziemiach Odzyskanych, czego tak Zarządowi jak i nowej Radzie Nadzorczej należy z całego serca życzyć.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Jak wiemy, we francuskiej strefie okupacyjnej Niemiec, są odrębne znaczki, podczas gdy w strefach: amerykańskiej, angielskiej i radzieckiej kursują znaczki jednakowe. Ostatnio w Saarze, gospodarczo i celnie związanej z Francją, wyszedł ostatni znaczek dużej serii, składającej się z dwudziestu wartości. Pierwszy znaczek tej serii ukazał się już w styczniu br.

Osiemnaście niższych wartości jest rozmiaru 18 x 22 mm, a ostatnie dwie — 22 x 39,5 mm. Rysunki, które wyobrażają górnika (od 2 do 12 fenigów), hutników (od 15 do 24 f.), pracujące kobiety (od 25 do 50 f.), zamek (od 60 do 80 f.), marszałka Neya (84 f.) i widok z lotu ptaka (1 marka), wykonał V. K. Jonynas.

A oto barwy tej serii: 2 f. — szary, 3 f. pomarańczowy, 6 f. — czarnoniebieskozielony, 8 f. — brunatnoczerwony, 10 f. — czarnoliliowy, 12 f. — czarnooliwkowy, 15 f. — ciemnobrązowy, 16 f. — ultramaryna, 20 f. — brunatnokarminowy, 30 f. — ciemnooliwkowozielony, 40 f. — brązowy, 45 f. — szkarłatny, 50 f. — czarnoniebieski, 60 f. — niebieskofioletowy, 75 f. — ultramaryna, 80 f. — czerwonopomarańczowy, 84 f. — brunatny i 1 mk. — szarozielony.

Z otrzymanej z Biura Filatelistycznego T. Gryżewski (Łódź, ul. Piotrkowska 47) serii reprodukujemy po jednym znaczku każdego typu.

Ciekawe w tej serii są znaczki z hutnikami (15, 16, 20, 24 f.). Pilni i spostrzegawczy filateliści zauważyli, że po odwróceniu dowolnego z tych znaczków „do góry nogami", między nogami jednego z hutników można zobaczyć przez szkło powiększające głowę... Hitlera. Niestety, jest ona zbyt mała, by mogła wyjść na naszej reprodukcji. Zachodzi tylko pytanie, czy jest to przypadek, czy też tak dowcipnie przemycił ją pan Jonynas.

WITOLD ORŁOWSKI

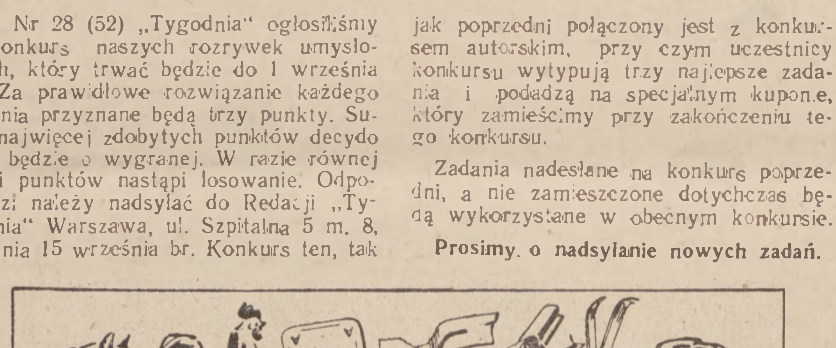


V KONKURS „TYGODNIA" na rozrywki umysłowe

W Nr 28 (52) „Tygodnia" ogłosiliśmy V konkurs naszych rozrywek umysłowych, który trwać będzie do 1 września br. Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia" Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 15 września br. Konkurs ten, tak jak poprzedni połączony jest z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu wytypują trzy najlepsze zadania i podadzą na specjalnym kuponie, który zamieścimy przy zakończeniu tego konkursu.

Zadania nadesłane na konkurs poprzedni, a nie zamieszczone dotychczas będą wykorzystane w obecnym konkursie.

Prosimy o nadsyłanie nowych zadań.



Ul. A. Nowakowski

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

W Nr 29 (53) „Tygodnia" ogłosiliśmy konkurs na ilustrowane przysłowia.

Pierwszą zagadkę odgadło kilkaset osób, drugiej niestety nikt i dlatego nie ma osób nagrodzonych. Większość czytelników podawała, że ilustracja zamieszczona w Nr 30 (54) „Tygodnia" oznacza: „Ostatnia deska ratunku".

albo „Nie mów hop, póki nie przeskoczysz",

lub „Miłe złego początki, lecz koniec żałosny",

A tymczasem właściwa odpowiedź powinna brzmieć: „Kto po kładce mądrze stąpa, ten się rzadko w błocie kąpa".

Na rysunku widać jak po wpadnięciu do wody, drugi wstępuje na kładkę bardzo ostrożnie.

Dla pocieszenia Czytelników przypominamy, że zbiór polskich przysłów zawiera ponad 50.000 pozycji i dlatego odgadnięcie rysunku nie jest łatwe.

Za to trzeci rysunek niewątpliwie odgadnie wiele osób. Czekajmy cierpliwie do następnego numeru.

Dziś zamieszczamy zagadkę Nr 4. Treść odgadniętego na podstawie rysunku przysłowia, należy przesłać do Redakcji „Tygodnia" do dnia 20 sierpnia br.



Wśród czytelników, którzy nadeślą dobre odpowiedzi — rozlosowanych zostanie:

5 nagród książkowych
oraz 10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Od Redakcji: Przysłowie nadesłane przez p. Zofię Marcinowiczową (Leśna pow. Lubań) podamy w następnym numerze „Tygodnia".

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca
Prenumerata miesięczna 75 zł. pół roczna — 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Ogłoszenia za mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
R. S. W. „PRASA", Z. G. W-wa. Smolna 12 B-36923

KURACJA
Z PRZYGODAMI

Przemęczony pracą i warunkami warszawskimi po naradzie z lekarzem postanowiłem przeprowadzić kurację dla wzmocnienia serca i nerwów w miejscowości kuracyjnej Polanica — Zdrój.

Zdecydowałem się poświęcić na ten cel przypadający mi urlop wypoczynkowy.

Wiedząc, że świat pracy korzysta z bezpłatnych przejazdów na wczasy pracowniczе, zwróciłem się o to do właściwego Oddziału Związku Zawodowego, przedstawiając jednocześnie uprzednio uzyskane skierowanie z instytucji do prowadzonego w Polanicy domu kuracyjnego.

Ku memu zdziwieniu poinformowano mnie, że właśnie ta miejscowość wyłączona została z planu wczasów i że mogę jedynie otrzymać 50%-tową zniżkę kolejową.

Zdziwiło mnie to nieco, że dla zdrowych jest przejazd bezpłatny, a chorzy mają jedynie 50% ulgi.

No ale trudno, zabieram zaświadczenie i idę z kolei do Związku Zawodowego Artystów Plastyków, aby uzyskać analogiczne zaświadczenie dla będącej członkiem Związku — matki mej, którą pragnąłbym zabrać ze sobą.

Tam znów okazuje się, że Związek nie posiada odnośnych uprawnień. Artyści widocznie tak są świetnie sytuowani, że nie potrzebują korzystać z ulgowych przejazdów.

Dalej więc kieruję swe kroki do „Orbisu", aby wcześniej kupić bilet.

W „Orbisie" nowe trudności. Oświadczają mi, że wprawdzie mam ulgę, ale jest to ulga na trzecią klasę pociągu osobowego, a do Polanicy bezpośrednio jest tylko pociąg pośpieszny, na który moja ulga jest nieważna.

Mając znajomego w Zarządzie „Orbisu", poszedłem do niego, aby się poinformować, czy stanowisko sprzedającego bilety jest uzasadnione. Odpowiedział mi, że w zasadzie mam słuszność i jednocześnie poinformował że na tej trasie kursuje raz w tygodniu szwedzki wagon sypialny drugiej klasy i że dla matki mojej będzie to daleko mniej uciążliwe niż jazda w sleepingu 3-ciej klasy, gdzie trzeba spać w pięć osób w jednym przedziale.

Z tymi informacjami idę więc dalej do „Orbisu", ale już do biura sprzedaży biletów zagranicznych.

Tutaj jakoś lepiej znają przepisy i sprzedają mi bilet ulgowy, biorąc należną opłatę za pośpiech i drugą klasę.

Bez większych trudności dostaję się do pociągu i rzeczywiście w doskonałych warunkach odbywamy podróż. Trudności znów zaczynają się po opuszczeniu wagonu.

Na stacji bowiem nie ma ani jednego numerowego, a jedyna dorożka już odjechała.

Ustawiamy się więc przed stacją, czekając, aż dorożka może się namyśli i po resztę pasażerów powróci.

Szczęśliwie doczekaliśmy się, pertraktując w międzyczasie z trzema chłopcami, którzy zaofiarowali swe usługi przewiezienia walizek na ręcznym wózku, licząc sobie ni mniej ni więcej tylko 200 złotych od pakunku.

Dorożka zażądała za całość bagażu łącznie zpasażerami znacznie przystępniejsza cenę 800 złotych i po długotrwałych targach ruszyliśmy, uzgodniwszy cenę na 500 zł. Chociaż suma ta w porównaniu do poprzednich żądań wydawała się dostępną, jednakże dla przeciętnej kieszeni pracowniczej stała się powodem głębokiego westchnienia.

Na miejscu przedstawiam się kierownikowi „domu", przedstawiam skierowanie i proszę o przydzielenie pokoju. Ale okazuje się, że to nie takie proste, jakby się zdawało. Najpierw trzeba załatwić formalności. Więc mimo poważnego znużenia, trwającą prawie 20 godzin droga, zasiadam przy bocznym stoliku, aby wypełnić kwestionariusze, zameldowanie, a nawet i wymeldowanie, bo mógłbym niespodziewanie na przykład wyjechać i stałaby się tragedia. Następnie opłata za pobyt. Bardzo słusznie, że z góry, ale ja przecież przyjechałem na kurację, muszę naradzić się z lekarzem i zorientować: jak długą przepisze mi kuracje. Nic te argumenty nie pomagają. Płacić z góry i koniec!

Następny dzień znów pełen trudności. Od rana kierownik tłumaczy, że należy jak najprędzej wykupić kartę kuracyjną, bez której nie można uzyskać zameldowania. Wyjaśnia przy tym, że władze miejscowe stoją na stanowisku, że w Polanicy mogą przebywać wyłącznie ludzie chorzy, więc kto nie wykupi karty kuracyjnej, ten nie może być zameldowany. Na marginesie należy dodać, że taką kartę może wykupić każdy, cała więc rzecz w tym, żeby zapłacić.

Z kolei wędruję do lekarza i po uzyskaniu wskazań co do kuracji, idę do Zakładu w celu wykupienia kąpieli.

I w dalszym ciągu trudności. Okazuje się, że legitymacja Związku Zawodowego nie wystarcza dla otrzymania ulgowej taryfy.

Na to potrzebne znów skierowanie na kurację przez Komisję Centralną Związków Zawodowych.

Ponieważ zainteresowanych, w tym względzie było wielu, bo z Warszawy nikt takiego specjalnego skierowania nie otrzymał, poszliśmy zbiorowo interweniować do dyrekcji zakładu.

Po długich przekonywaniach i debatach dyrekcja zgodziła się wydać zezwolenie na wykupienie biletów do kąpieli według taryfy ulgowej po złożeniu przez nas odpisów zaświadczeń uprawniających do ulgowych przejazdów kolejowych z tym, abyśmy właściwe skierowanie sprowadzili pocztą z Warszawy i złożyli je jako uzupełnienie w dyrekcji.

Wreszcie po dwugodzinnym czekaniu w kolejce udało się wykupić kąpiele i umieścić w wannie swoja osobę trzęsącą się z nadmiaru zdenerwowania, powstałego przy pokonywaniu tych wszystkich biurokratycznych przeszkód.

Zakład kąpielowy dobrze urządzony i wyposażony pozwolił na przeprowadzenie właściwej kuracji, a zupełnie dobre pod względem wyżywienia wygód, życie pensjonatu otworzyło warunki do widocznej i wyraźnej poprawy zdrowia, a przede wszystkim stanu nerwów. W rezultacie mogłoby się być naprawdę wzmocnionym i wypoczętym, gdyby nie trudności powrotu.

W Kudowie w „Orbisie" powiadają mi, że na sleeping II-giej klasy tj. wagon szwedzki biletów nie sprzedaje i że może sprzedać jedynie Wrocław.

Korzystam z jakiejś okazji samochodowej i jadę do Wrocławia.

Okazuje się, że i tutaj „Orbis" sprzedaje tylko miejsca do swoich wagonów III klasy.

Informują mnie tam, że należy bilet wykupić bezpośrednio w wagonie. Przy peronie z Wrocławia na stacji ku mojej radości widzę pociąg z wagonem o który mi chodzi.

Rzucam się więc do prowadzącego z zapytaniem, jak postąpić, aby mieć zapewnione miejsce na następną niedzielę i otrzymuję odpowiedź że jedynie można zamówić pisemnie pisząc do Towarzystwa Wagonów Sypialnych w Pradze Czeskiej lub w Sztokholmie.

Tu, już nic nie odpowiadając, zacisnąwszy zęby wsiadam do powrotnego pociągu i wracam do Polanicy z wątrobą przewróconą do góry nogami.

I znów kombinuję nad rozwiązaniem tego, co powinno być zupełnie proste, a jest zarazem nie do rozwiązania.

Ponieważ wagon szwedzki chodzi tylko raz w tygodniu w niedzielę postanawiam pójść na stację i w czasie postoju zamówić sobie miejsca na następną niedzielę.

Nadchodzi pociąg„ ale ku memu zdziwieniu nie ma szwedzkiego wagonu. Pytam kierownika pociągu i dowiaduję się, że dziś wagon ten odczepiony został i zatrzymany w Kłodzku ze względu na zmniejszony skład pociągu.

Zgnębiony już całkowicie wracam do pensjontu z uczuciem bezsilności wobec piętrzących się trudności.

Trzeba jednak coś wymyślić.

Zamawiam więc jedyną w mieście taksówkę, aby w dzień wyjazdu pojechać bezpośrednio do Kłodzka.

Ach, znów budzą się wątpliwości: a jeżeli właśnie w tę niedzielę wagon szwedzki pojedzie do Kudowy i może być stamtąd już całkowicie zapełniony, wtedy cały wysiłek pójdzie na marne i 1500 złotych za taksówkę będzie również stracone?

Nie, trzeba zrobić inaczej. Pójść na stację, jak będzie pociąg szedł w tamtą stronę, jeżeli wagon, o który mi chodzi będzie w składzie pociągu, zamówię miejsca, a jeśli znów zatrzymany został w Kłodzku, trzeba błyskawicznie siadać w taksówkę i walić do Kłodzka.

Na szczęście tym razem wagon był i miejsca zamówiłem.

Trudności jeszcze były z nabyciem biletu. Kasjer sprzedał mi za okazaniem legitymacji bilet trzeciej klasy pociągu osobowego, ale dopłaty do klasy II i za pośpiech przyjąć nie chciał, mimo okazania mu, iż w pierwszą stronę w Warszawie taki bilet sprzedano mi.

Wobec przemocy musiałem ustąpić i kupić normalny bilet na pośpieszny i II klasy. Uprzejmy kasjer nie chciał wtedy przyjąć z powrotem sprzedanego mi uprzednio biletu 3-ciej klasy i żądał zapłaty po raz drugi. Wreszcie po otrzymaniu kilku mocniejszych epitetów zgodził się na zwrot poprzedniego biletu, ale znów zaczął wmawiać, że go zabrałem.

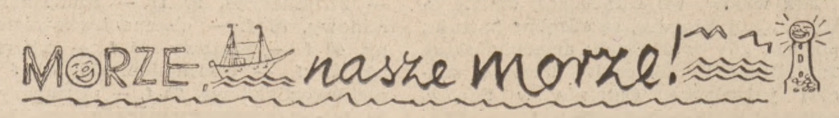
Doszło do lekkiej awantury, w rezultacie której „uprzejmy" kasjer wstał z miejsca i wtedy okazało się, że mój bilet znalazł się na jego krzesełku.

Otrzymałem wreszcie bilet na ostatnią chwilę przed nadejściem pociągu.

Mam wrażenie, że w rezultacie te na pozór drobne trudności, które opisałem jeżeli nie zanulowały, to przynajmniej w dużej mierze osłabiły skutki tak bardzo potrzebnej kuracji.

Piszę to zresztą ku przestrodze pragnących odbyć kurację w Polanicy, aby przed przybyciem zaopatrzyli się we wszystkie potrzebne i niepotrzebne zaświadczenia, a przede wszystkim w dużą dozę spokoju i opanowania.

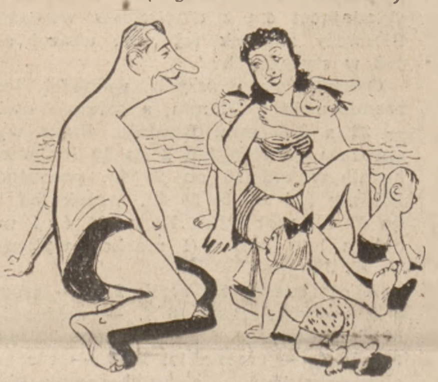
J. MALEWSKI



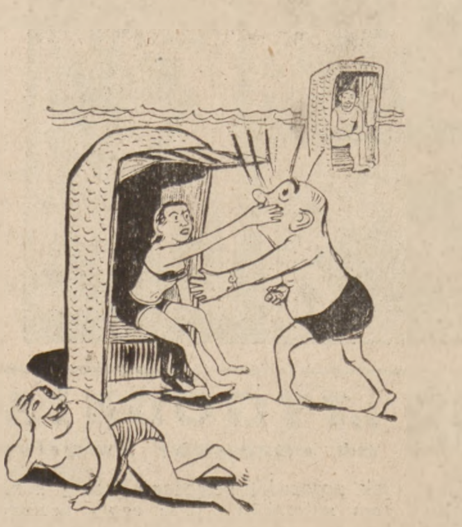
(Rys. Julian Żebrowski)



— Mamusiu dlaczego ten pan się nie kąpie, przecież on jest taki czarny...



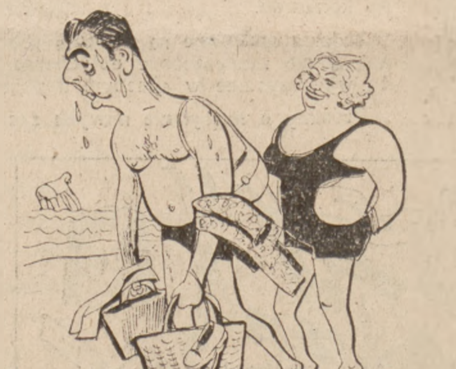
— Czy pani jest mężatką?
— A po czym pan tak sądzi?...



Ten facet dostał odkosza



Zdjęcie na tle bałwanów, czy odwrotnie?..



— Mój kolega Kazio tak się opalił, że jest nad morzem za murzyna...



— Dokąd się w futrze i z sankami wybierasz?
— Nad morze
— Jakto, teraz?
— Bo opowiadają, że jest tam strasznie zimno.